

jan krasnowolski

9

ŁATWYCH

KAWAŁKÓW



SPIS TREŚCI

| | |
|-----------------------------|----|
| Pilot | 3 |
| Spokojny staruszek | 5 |
| Spalić wiedźmę | 9 |
| Łowcy | 14 |
| Odlot na wschód | 23 |
| Hasta la vista szkodniki | 29 |
| Szewski poniedziałek | 35 |
| Flashback | 41 |
| Ballada Łowcy róż | 48 |

PILOT

Tato mój miał chorobę telewizyjną. Pamiętam, że zawsze, od moich najmłodszych lat, odkąd tylko zacząłem cokolwiek kojarzyć, widziałem go siedzącego w dużym pokoju, wbitego w wielki fotel ustawiony dokładnie vis a vis telewizora.

W moich wspomnieniach tato nie istnieje jako autonomiczna jednostka. Zawsze widzę go złączonego, tworzącego nierozzerwalną całość z fotelem, przyklejonym do ręki pilotem i, oczywiście, z ustawionym naprzeciw niego telewizorem. Więż pomiędzy nimi spajała ich tak, że tworzyli jakby samowystarczalną maszynę. Urządzenie, którego częścią była żywa istota funkcjonująca sama dla siebie, niepodatna na czynniki z zewnątrz. Zasilana tylko prądem z gniazdka.

Oczywiście, gdy byłem mały, tato czasem bawił się ze mną, lecz nasze zabawy raczej nie przypominały typowych zabaw ojca z synem - uświadomiłem to sobie dopiero, gdy podrosłem. Tato mianowicie sadzał mnie na kolanach i pokazywał mi sceny zmieniające się szybko na szklanym ekranie wodząc za nimi palcem. Świadomość, że z tatą coś jest nie w porządku, zaczęła kiełkować w moim umyśle później, gdy poszedłem do szkoły. Miałem już wtedy kilku kolegów i czasami odwiedzałem ich. Ojcowie moich przyjaciół byli inni. Mieli swoje wady i zalety. Dobre i złe humory, niektórzy nawet pili od czasu do czasu, ale wszyscy żyli swoim własnym, prawdziwym Życiem, podczas, gdy życie mojego taty rozgrywało się nie dookoła niego, lecz w małym pudełku ustawionym przed nim. Tato ograniczał się tylko do roli obserwatora. Jego wzruszenia były wzruszeniami bohaterów seriali. Jego radości były w rzeczywistości radościami zdobywców głównych nagród w głównianych teleturniejach. Podobnie zresztą było z porażkami.

Jego czas odmierzają regularnie nadawane programy. Jego dzień rozpoczynał się od porannego serwisu informacyjnego, a kończył wraz z ostatnim filmem. Tato nie wybierał, jak to robią inni, najciekawszych programów. Potrafił za to śledzić akcje dwóch lub więcej filmów nadawanych równolegle na różnych kanałach. Siedział wtedy, jak zwykle, bez ruchu. Tylko jego palce co chwila przyciskały guziczek pilota zmieniając kanał. Z czasem nawyk ten utrwalił mu się.

Pamiętam, że informacja, która docierała do taty za pośrednictwem telewizora było dla niego najwyższą świętością, a ten, kto próbował ją podważyć lub poddać w wątpliwość stawał się momentalnie obrazoburcą.

Wszystkie zdania taty wypowiedane np. przy stole podczas obiadu (mówię oczywiście o czasach, kiedy tata jadał jeszcze z nami przy stole) rozpoczynały się od stwierdzenia: "W Wiadomościach mówili" lub "w telewizji mówili" albo po prostu "mówili". Kto i gdzie mówił i tak wszyscy się domyślali. Należy dodać, że uwagi taty były albo banalnie oczywiste, albo niedorzecznie absurdalne. Przeważnie całkiem wyrwane z kontekstu. Pamiętam, że kiedyś przy obiedzie, podczas rozmowy na temat moich ocen w szkole milczący dotąd tato nagle odezwał się: "Mówili, że co dwudziesty nauczyciel seksualnie molestuje swoich uczniów", a po chwili dodał: "I mówili, że promienie słoneczne niszczą skórę. Niezdrowo jest się opalać." Po prostu cały tato. Zresztą jakiś czas później przestał jadać z nami przy stole, jak zresztą przestał mówić całymi zdaniami. Zamiast nich wyrzucał z siebie zlewki wyrazowe, które z biegiem czasu miały coraz mniej sensu: "...biją się...te Arabcy...czy jak im tam... Chorwaty..."

głupie takie... po co to..." albo "...młodzież... smarują po ścianach... te włosy... ale łomot... muzyka... śmiecie... zera... do nauki... ja bym zamknął..."

Po jakimś czasie tato przestał przyjmować pokarmy, potem napoje, całą energię czerpiąc z odbiornika. Stał się samowystarczalny. Przestał też wstawać z fotela, tak że błękitna poświata bijąca od ekranu na stałe przykleiła się do jego twarzy. Chyba już wtedy tato zaczął blednąć. Początkowo nie zauważyliśmy tego, gdyż już od dawna przestaliśmy zwracać na niego uwagę i traktowaliśmy go jak jeszcze jeden element wystroju wnętrza - ani potrzebny, ani niepotrzebny - po prostu był i już.

Pierwsza zauważyła siostra: - Czy nie myślicie, że tato blednie? - spytała przy kolacji, jednak nikt nie podjął tematu. Kilka dni później i ja to zauważyłem. Tato zbladł już do tego stopnia, że było przez niego widać - na wylot - kontury fotela. Nie mam przy tym na myśli, że tato schudł, zmizerniał czy coś w tym rodzaju. Tato stawał się wyblakły, półprzeźroczysty. Jego skóra straciła naturalną barwę i stała się bladoniebieska - jak poświata bijąca z ekranu. Wszystko u taty stało się jasnoniebieskie - twarz, oczy, wargi, zęby, resztki włosów, łysina, koszula, spodnie a nawet ciepłe bambosze. Dosłownie wszystko. W dodatku było widać przez niego dość wyraźnie ten cholerny fotel. Przez rękę przebijał pilot leżący na oparciu. Pamiętam, że wtedy zagadnąłem tatę. Na chwilę obrócił do mnie swą bladoniebieską, bezmyślną twarz i wybełkotał coś, co zabrzmiało, jak: "Dziśprotele... sportsobot... mówią... progrogro... telelele... to ważne..."

Zrozumiałem, że nie można mu już pomóc. Kilka dni później spostrzegliśmy, że fotel jest prawie pusty. Jeszcze tylko widać było lekkie zanikające kontury taty - tak jakby ktoś przeciągnął aerografem nad fotelem szkicując kontury siedzącej postaci, a drobinki farby zamiast opaść osiadły nieruchomo w powietrzu. Z czasem i to znikło.

Z przyzwyczajenia jeszcze nie gasiliśmy telewizora, który później i tak się zepsuł. Wyrzuciliśmy go na śmietnik. Fotel skradziono podczas przeprowadzki. Nie mam pojęcia, co stało się z pilotem.

SPOKOJNY STARUSZEK

Staruszek był samotny i tak rzadko wychodził ze swojego pokoju, że Rodzina, u Której Mieszkał już prawie zapomniiała, jak wygląda ich sublokator.

Z tą samotnością Staruszką to niezupełnie prawda; w akwarium, które stało na półce w pokoju Staruszką pływało pięć rybek: jedna Welonka, jeden Skalar i trzy Gupiki. Oprócz tego w doniczce na oknie rósł Kaktus.

Staruszek całymi dniami siedział na krześle naprzeciwko akwarium i obserwował rybki. Tak się z nimi zżył, że ponadawał im imiona. Welonka Stella krążyła zazwyczaj majestatycznie pomiędzy basztami plastikowego zamku stojącego na dnie akwarium. Gupiki Grześ, Cześ i Zdziś uwijały się wokół pływającego po powierzchni kółka z pokarmem a Skalar Edek godzinami czatował w ciemnej grocie pod zamkiem po to, aby w dogodnym momencie wyskoczyć i ugryźć w ogon albo w płetwę spokojnie przepływającą Welonkę. Staruszek obserwował to wszystko i tak mijał mu dzień. Raz w tygodniu, przeważnie w piątek przerywał obserwację i szedł do okna, aby podlać Kaktusa.

Siedząc co dzień przed swoim akwarium, Staruszek mimochodem słuchał domowych odgłosów i znał je wszystkie na pamięć.

Pokój z prawej strony zajmował Młodszy z synów Rodziny, u Której Mieszkał Staruszek. Słysząc było stamtąd codziennie odgłosy strzelaniny, detonacji i wybuchów, zmieszane z jękami, krzykami i wrzaskami. Brzmiało to mniej więcej tak:

trach trach bach trach TRACH Och BUM oooj **TRACH** ratatatata Oooooch JEB **TRACH** RATATATATATA **JEB BUUUM OOOOOOOOOOOOOOOOOCH!!!!!!!!!!!!!!**

Jak łatwo się domyślić, Młodszy z synów Rodziny, u Której Mieszkał Staruszek był wielkim miłośnikiem gier komputerowych.

Odgłosy dobiegające zza drugiej ściany (tam mieszkał Starszy syn Rodziny, u Której Mieszkał Staruszek) były bardziej zróżnicowane. Często wydobywał się stamtąd głośny hałas o różnym natężeniu, który Staruszkowi absolutnie nie kojarzył się z muzyką, a to wyłącznie dlatego, że Staruszek nigdy nie interesował się takimi kapelami, jak BIOHAZARD, NOMEANSNO, NINE INCH NAILS czy BEASTIE BOYS. Jestem przekonany, że Staruszek nie potrafiłby nawet odróżnić BEASTIE BOYS od NOMEANSNO. Oprócz słuchania czadowej muzyki, Starszy zajmował się trenowaniem kick - boxingu. Do jego ulubionych zajęć należało walenie pięściami i kopanie na wszystkie możliwe sposoby w wielki, skórzany worek, wypełniony trzydziestoma kilogramami starych gumowych rękawic, zawieszony na solidnych, stalowych hakach wkręconych w sufit. Kiedy Starszy trenował, brzmiało to mniej więcej tak:

łup łup pac łup łup łup pac łup pac pac bęc pac pac pac pac łup bęc.

Czasami do Starszego przychodziła Dziewczyna. Rytmiczne stuk stuk stuk stuk jej wysokich obcasów słyszał Staruszek już od momentu, kiedy Dziewczyna przecinała wybetonowane podwórko przechodząc stuk stuk stuk stuk pod oknem Staruszką. Chwilę potem STUK STUK STUK STUK, głośniejsze i wyraźniejsze rozlegało się na schodach, wreszcie **STUK STUK STUK STUK** przemierzało przedpokój, żeby w końcu zrobić ostatnie

STUK STUK w pokoju Starszego.

Staruszek wcale nie musiał przykładac szklanki do sciany oddzielajacej jego pokoj od pokoju Starszego, zeby wszystko wyraźnie slyszec. Nie musiał tez specjalnie wytezac swojej wyobrazni, zeby zgadnac, co dzieje sie w pokoju obok, kiedy rozlegaja sie w nim takie oto odglosy:

zgrzyp zgrzyp och zgrzyp zgrzyp och och zgrzyp och tak, TAK zgrzyp OCH TAK TAK, JESZCZE zgrzypzgrzypzgrzyp **ACH STEFAN JUŻ NIE WYTRZYMAM** zgrzyp zgrzyp OOOCH!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Starszemu wcale nie przeszkadzało, że jego tapczan przeraźliwie skrzypiał. Staruszkowi właściwie też to nie przeszkadzało. Do czasu.

Wszystko zaczęło się na początku czerwca, kiedy to skromna emerytura Staruszka z niewiadomych przyczyn po prostu nie przyszła. Możliwe, że akurat wtedy dla Staruszka zabrakło pieniędzy w budżecie, albo też żarłoczny Wirus Komputerowy w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych połknął całą emeryturę. W każdym razie Staruszek po raz pierwszy usłyszał głosy pewnego wieczoru, jedząc kolację, na którą składała się sucha bułka moczona w mleku.

- Sądzę, że w zaistniałej sytuacji powinieneś zatroszczyć się o coś lepszego do jedzenia - usłyszał Staruszek jakiś cichy, przyjazny i sympatyczny głos.

- Rodzina ma w kuchni lodówkę pełną żarcia!

- Na pewno trzymają tam cielęcinę! I szynkę! I ser!

- I wędzonego kurczaka! - te trzy głosy były cieńsze i nieco głośniejsze.

- Pewnie, idź do kuchni, co się będziesz pierdolił! - ten głos był chrapliwy i lekko jakby przepity.

Przestraszony Staruszek zaczął rozglądać się dookoła, żeby ustalić, kto namawia go do występku. Wtedy jego wzrok padł na akwarium. Wszystkie rybki patrzyły na niego. Szybko doszedł do wniosku, że głosy należą do nich. Ucieszył się, ponieważ chwilę wcześniej pomyślał, że pewnie zwariował. Wiedział o wariatach, słyszających w swoich głowach głosy, które kazały im robić różne paskudne rzeczy. "Ale skoro to rybki, to wszystko w porządku" - pomyślał Staruszek.

- No, co z tobą, cykor jesteś? - Staruszek łatwo się domyślił, że chrapliwy głos należy do Skalara Edka.

- Ale ja nigdy nie wziąłem cudzej własności - próbował się bronić Staruszek.

- Ale jesteś głodny!

- I masz dość suchych bułek!

- A w lodówce jest pełno żarcia! - zakrzyczały go Gupiki Grześ, Cześ i Zdziś. Jednak ostatecznie przekonała go Welonka Stella: - Zważywszy, że twoje dobro koliduje z dobrem Rodziny, stanowczo powinieneś uznać swoje dobro za nadrzędne. Zwłaszcza, że nikt nawet nie zauważył zniknięcia niewielkiej ilości jedzenia z tej ogromnej lodówki.

Jeszcze tej samej nocy Staruszek zakradł się do lodówki, skąd zabrał: dwa kiszzone ogórki, dziesięć deko żółtego sera, pomidora, ledwie napoczętą konserwę z tuńczyka, udko wędzonego kurczaka, banana oraz puszkę piwa. Kiedy najedzony jak bąk Staruszek szedł spać, rybki podtrzymywały go na duchu:

- Chyba nie masz wyrzutów sumienia? Naprawdę postąpiłeś słusznie, twoja sytuacja

absolutnie cię usprawiedliwia.

- I nareszcie nie jesteś głodny!
- Zjadłeś tyle pysznych rzeczy!
- Dawno takich nie jadłeś!
- Po prostu, kurwa, to ci się należało.

Od tej pory Staruszek postępował tak, jak radziły mu rybki. Ponieważ Starszy zaczął trenować bardzo intensywnie, przygotowując się do startu w mistrzostwach kick - boxingu, codziennie pochłaniał wielkie ilości jedzenia i Rodzina nie zauważyła nawet, że ktoś jeszcze podjada z lodówki. Wszystko szło na konto Starszego.

Rybki mówiły do Staruszka przeważnie wieczorami. Udzielały mu różnych rad i sugestii, zwracając jego uwagę na rzeczy, nad którymi do tej pory Staruszek się nie zastanawiał.

- Czy nie wydaje ci się, że ten hałas, który słyszysz z dwóch stron, jest nieco uciążliwy? - spytała pewnego razu Welonka.

- Codziennie to samo, chwili spokoju nie ma!
- Oszaleć można od tego łomotu!
- W ogóle się z tobą nie liczą! - rozkrzyczały się Gupiki.
- Ale co ja mogę w tej sprawie zrobić?
- Załatw, kurwa, sprawę po męsku. - poradził Skalar Edek.

- Ale jak? - spytał skołowany Staruszek. Wtedy rybki mu powiedziały. Następnego dnia, przed południem, kiedy w domu nie było nikogo z Rodziny, Staruszek udał się do łazienki. Z apteczki wziął strzykawkę, którą napełnił wodą. Wziął też żyletkę. Potem poszedł do pokoju Młodszeo i przez szczelinę stacji dysków wpuścił do komputera pięć centymetrów sześciennych wody. Następnie poszedł do pokoju Starszego i powtórzył operację, tym razem wstrzykując wodę do wzmacniacza wieży stereo. Nie koniec na tym. Rozochocony Staruszek uszkodził także worek treningowy, nacinając nieznacznie żyletką nitkę, którą worek był od spodu zszyty.

Pierwszy wrócił ze szkoły Młodszy. Od razu usiadł przy komputerze i spróbował go włączyć, aby jak co dzień uśmiercić kilkuset wrogów. Komputer zrobił głośne **BZZZZZ TRZASK** i o mało nie uśmiercił Młodszeo, rażąc go dotkliwie prądem.

Jeszcze nie ucichło zamieszanie spowodowane tym wypadkiem, kiedy z pracy przyszedł Starszy. Właśnie kupił sobie najnowszą płytę NINE INCH NAILS, którą miał zamiar niezwłocznie przesłuchać. Włączył wzmacniacz, który natychmiast zrobił głośne **BZZZZZ TRZASK**. Jak każdy Kick - Boxer, Starszy miał szybki refleks, więc uniknął porażenia prądem. Chcąc się wyładować, Starszy kilka razy strzelił pięścią w treningowy worek, a potem kopnął go z całej siły. Wtedy rozległo się głośne **PLASK** i trzydzieści kilo starych, gumowych rękawic wypadło na podłogę.

Wszystkie te zdarzenia Rodzina potraktowała jako wyjątkowo pechowy zbieg okoliczności. Wtedy nikt jeszcze nie podejrzewał Staruszka, który jak zwykle siedział w swoim pokoju i wpatrywał się w akwarium. A rybki chwaliły Staruszka:

- Od razu wiedziałem, że jesteś gość z jajami - mówił Skalar Edek.
- Masz wreszcie święty spokój!

- Możemy sobie spokojnie rozmawiać!
- Sami się o to prosili! - przekrzykiwały się Gupiki.

Tylko Welonka Stella nie była do końca zadowolona:

- Wiesz, nie podoba mi się ta Dziewczyna, która przychodzi do Starszego. To nie jest porządna dziewczyna, a to, co oni tam wyprawiają, jest po prostu amoralne i wręcz napawa mnie obrzydzeniem. Moim zdaniem, powinieneś się tym zająć.

- Tak! To nie jest porządna dziewczyna!
- Za twoich czasów takie rzeczy się nie zdarzały!
- Do ciebie nigdy nie przychodziła żadna dziewczyna! - rozkrzyczały się Gupiki.
- Ale co ja mogę zrobić? - spytał Staruszek.
- Załatw zdziurę - zaproponował Skalar Edek.

* * *

Staruszek siedział przy otwartym oknie i czekał. Ciężką doniczkę z Kaktusem postawił przy samej krawędzi parapetu, w ten sposób, że teraz wystarczyło tylko lekko ją pchnąć. Po południu, kiedy myślał, że już się nie doczeka, usłyszał znajome stuk stuk stuk stuk.

* * *

Kiedy Staruszka zabrano do zakładu, Rodzina powoli doszła do siebie. Młodszemu kupiono nowy komputer, jeszcze lepszy od poprzedniego, z mikroprocesorem Pentium PRO 200 i z pamięcią RAM mieszczącą 64 Megabajty, pozwalające Młodszemu staczać jeszcze krwawsze i hałaśliwsze bitwy.

Starszy zajął pierwsze miejsce na mistrzostwach kick - boxingu. Pieniądze z nagrody przeznaczył na zakup nowej wieży stereo. Kupił też sporo nowych płyt. Niebawem zaczęła do niego przychodzić nowa Dziewczyna, która po pewnym czasie wprowadziła się na stałe. Starszy zdemontował cienką ścianę, łącząc w ten sposób swój pokój z pokojem opuszczonym przez Staruszkę. A rybki... Rybek nie pozwolono Staruszkowi zabrać do zakładu, więc Rodzina opróżniła akwarium, wylewając jego zawartość do klozetu.

SPALIĆ WIEDZMĘ

„Spalić wiedźmę” - krzyczeli ludzie. - „Na stos czarownicę przebrzydłą”. Najgłośniej krzyczał taksówkarz z siódmego piętra. Miał powody. Ktoś rzucił urok na jego prawie nowy samochód, powodując znacznie zwiększone zużycie paliwa. Taksiarz z siódmego kłął się się, że wcześniej Polonez palił niecałe siedem, teraz, na wskutek diabelskich sztuczek potrafi spalić i czternaście. Panewki stukają, sprzęgło ślizga, a skrzynia biegów zaczęła się dosłownie sypać. Oprócz tego auto nawiedziła plaga korozji i nadkola nadają się do wymiany, nie wspominając już o progach.

* * *

Jak na wehikuł wszelaki paliwem płynnym napędzany urok rzucić a także i inne szkody na nim uczynić, psując go doszczętnie:

O północy, siódmy dzień po uiszczeniu opłaty za ubezpieczenie przez właściciela znak stopu na masce tęnym gwoździem wykreślić wypowiadając po trzykroć magiczne słowa: AKWENAP REDNILYC AGLEF. Następnie napluć w lewy reflektor należy i uczynioną wcześniej podobiznę wehikułu w skali 1:44 spalić. Dla większej uroku skuteczności dziabulcem naostrzonym koła poprzebijać a pakuł głęboko w rurę wydechową wrazić.

* * *

Od pewnego czasu wiadome było, że w naszym bloku ktoś para się czarną magią. Kaloryfery chłodziły miast grzać. Winda porywała pasażerów, jeżdżąc z nimi między parterem a dziesiątym, tam i z powrotem bez chwili przystanku, aż ci zaczęli krzyżeć z trwogi lub też mdleli z wycieńczenia. Domofon został opanowany przez demona, który zwodził dzwoniących, odzywając się różnymi głosami, wygadując najgorsze sprośności lub też wydając inne nieprzyzwoite odgłosy. Kanalizacja wypluwała nieczystości, zapaskudzając łazienki kałem i zgnilizną. We wszystkich piwnicach jednocześnie popękały słoiki z kompotami, a z trzymany tam ziemniaków wylęgły się jadowite ropuchy.

* * *

Jak na budynek mieszkalny, spółdzielczy, wielokondygnacyjny sforę czartów sprowadzić, które po bloku panoszyć się będą, niemiłym go czyniąc dla mieszkańców jego:

Na dróg skrzyżowanie, proste, lub też może być okrężne tabliczkę z numerem domu, w dniu miesiąca i w godzinie odpowiadającym numerowi domu przynieść należy, a następnie nietoperza stolcem znak pentagramu na tabliczce owej namalować, przywołując czarty następującymi słowy:

„Przybywajcie czarty, dom dla was otwarty

Wielka płyta niech zazgrzyta

Welcome at home”

* * *

Mieszkańcy, pod przewodnictwem dozorczy, który jako posiadacz jedynej w naszym bloku egzemplarza księgi „*Młot na czarownice - wydanie wznowione, współczesne*” stał się w kwestii tropienia czarownic niekwestionowanym autorytetem, przeprowadzili śledztwo. Zrazu podejrzenie padło na szesnastoletnią Klaudię z trzeciego, o której powszechnie wiadomym było, że słucha heavy - metalu w swej najgorszej, trashowej odmianie i która zwykła była ubierać się na modłę służebnic zła, barwiąc paznokcie i włosy na kolor kruczej czerni oraz obwieszając kurtkę swoją skórzaną talizmanami, krzyżami odwróconymi oraz innym żelastwem wszelakim. Pojmano tedy Klaudię i uwięziono w wózkowni, naprędce na katownię przez komitet blokowy przemianowaną. Tam zajął się Klaudią niejaki pan Lech, z zawodu dentysta, a jego pomocnikiem był pan Gutek - złota rączka. Na różne sposoby starano się zmusić Klaudię, aby wyjawiała sposób, w jaki czary odczytać, jednak po wstępnych badaniach, nieszczęsna dziewczyna próbie prądu poddana, wskutek błędu technicznego przez pana Gutka w katowskim rzemiośle popełnionego zmarła, a zło nie przestało się panoszyć. Szukano więc dalej. Wtedy do komitetu blokowego przyszło pismo, jasno sprawczynię wszystkich nieszczęść wskazujące. „*Przyjaciel życzliwy inkryminuje, że osoba przez Was poszukiwana gnieździ się na parterze pod trzynastym, nazywa się Kanalik Bożena i jest nauczycielką fizyki*” - lakonicznie acz wyczerpująco donosił anonim. Informacji takiej postanowiono nie lekceważyć. Przeszukano więc mieszkanie nauczycielki, a dowodów świadczących przeciw niej zebrano aż nadto: w mieszkaniu znaleziono brzożową miotłę oraz modem internetu. Dodatkową okolicznością obciążającą było, iż kobieta ta od dawna narzekała na auta hałasujące pod blokiem, a zwłaszcza na zielonego Poloneza, który, parkował pod jej oknem. Wskazana kobieta, w stanie staropanieńskim pozostająca nie była przez nikogo lubiana, a to ze względu na odstręczającą powierzchowność i mocno jędzowaty charakter. Powszechnie wiadome było o skargach, jakie jakiś czas temu regularnie słała do administracji w związku z przyznaniem jej najniekorzystniejszej, jak twierdziła, umiejscowionej piwnicy. Domofon mogła uszkodzić z zawiści, że nikt jej nie odwiedza, a windę zepsuła, jak się domyślano, ponieważ mieszkając na parterze i tak z niej nie korzystała, z czystej, bezinteresownej złośliwości, która, jak powszechnie wiadomo, wszystkie wiedźmy cechuje.

* * *

Oskarżoną o czary nauczycielkę fizyki prowadzono w kierunku stojącego pod blokiem trzepaka, wokół którego już wcześniej przygotowano stos. Złożyły się nań połamane krzesła, pudła kartonowe po AGD, kolorowe pisma treści przeróżnej, stara deska sedesowa, a także kilka choinek - pozostałości po świętach Bożego Narodzenia. Taksiarz z siódmego trzymał w pogotowiu kanister z wysokooktanową, bezołowiową benzyną na wypadek, gdyby przy zapaleniu stosu kłopoty jakieś zaistniały.

Gawiedź wyległa przed blok, tłocząc się i ciżbę czyniąc. Inni, zapobiegliwi miejsca w oknach i na balkonach pozajmowali, krewnych i znajomych pospraszali, aby wszyscy mogli dokładnie zobaczyć. Co poniektórzy na błonach Kodaka lub w systemie VHS przebieg zdarzeń utrwalali, nie na co dzień przecież spalanie na stosie się odbywa. Przyjechała ekipa telewizyjna w sile pięciu chłopów, a reporterka popularnej sieci radiowej usilnie starała się wywiad na żywo z czarownicą przeprowadzić. Ta jednak nie była zbyt komunikatywna, a to być może dlatego, że po badaniach, jakim ją uprzednio pan Lech z panem Gutekiem poddali, łącznie z badaniem decybelowym, polegającym na audycji Radia Maryja przy volume na full odkręconym prosto w uszy puszczeniu, jak również badaniu na przewodnictwo prądu elektrycznego, zwanym też badaniem Ohma (tym razem pan Gutek dobrze się starał aby z ilością voltów nie przesadzić), język jej był jeszcze odrętwiały, a i

mózg tak jakby nieco szwankował.

W kwestii bezpieczeństwa postąpiono ściśle wedle zaleceń „Młota na czarownice” i aby pozbawić wiedźmę złej mocy ośmieszono ją przed gawiedzią. W tym celu w buty typu Spicegirls, następnie w bluzę z Mickey Mouse ją przyodziano, na głowę czapeczkę z godłem Chicago Bulls wciśnięto, jak również na oczy okulary spawalnicze, aby nikomu swym złym spojrzeniem zaszkodzić więcej nie zdołała, włożono. Widząc to, mieszkańcy bloku strachu się zbyli i odwet teraz sobie za wszystkie krzywdy doznane brali. - „Patrzcie ją, nie jest już taka groźna” i „Spróbuj teraz swoich podłych czarów - marów, czarcia dziwko, ty” - wołano. Podczas gdy starsi ograniczali się raczej do agresji słownej, dziewczyna w wieku szkolnym zawiodła w celowaniu do nauczycielki jajkami sobie zrobiła, a także pomidorami i innym lepkiem paskudztwem. Nikt wiedźmy jednak nie żałował. Było kilku z czekających na egzekucję szczególnie przez czary poszkodowanych. Był wśród nich informatyk Ireneusz, który wielkie straty poniósł z powodu strasznej klątwy, która rzucona na jego komputer została, powodując przemianę dysku twardego w galarete.

* * *

Jak w komputer nieprzyjaciela twego zadać wirus złośliwy, który rozpanoszy się i zamęt informatyczny wprowadzi, programy wszystkie jego do zguby przywodząc:

Pliki z klątwą zapisaną sześć razy po sto i sześć dziesiątek i jeszcze razy sześć za pośrednictwem poczty elektronicznej pod adres upatrzony przesłać, bacząc, aby klawiatury palec serdeczny lewej ręki tylko dotykał. Po bliższe informacje odnośnie klątwy pod adres <http://www.satan.net>. zgłosić się należy.

* * *

Była też Cecylia niejaka, kobieta nobliwa i w wieku już starym, którą za przyczyną złej magii choć tak wielką ogarnęła, że wbrew składanym po śmierci męża swego Stefana ślubom, iż do końca życia z żadnym mężczyzną współżyć intymnie nie będzie i nie bacząc na chorobę wstydliwą ryzyko się zarażenia, w jedno popołudnie pięciu mężczyzn uwiodła.

Pierwszą ofiarą piekielnej chuci padł starający się zreperować tryskający fekaliami kran hydraulik Kolanko Władysław. Cecylia dopadła hydraulika w łazience, a ten, choć nie ułomek, dopiero po godzinie uwolnić się zdołał, taka siła diabelska w niewiastę słabą wstąpiła.

Następny był sublokator Wsłizło Remigiusz, student cherylwy z postury i zniewieściały, więc mimo desperackiego oporu oraz błagania o łaskę molestowany był on przez czas o wiele dłuższy. Kiedy Remigiusz osunął się w końcu omdlony, kobieta owa wciąż nienasycona, za szatańskim podszeptem do fortelu się uciekła i dostawę pizzy do domu przez telefon zamówiła. Tak więc kolejną ofiarą wszetecznej Cecylii padł niczego się nie spodziewający dostawca.

Gdy Cecylia siły już wszelkie z nieszczęśnika zabrała, zmarnowanego wyrzuciła i przemyśliwała, jakby zemdlonego Remigiusza na nowo ocucić, do drzwi niespodziewanie dwóch ministrantów zastukało, którzy wizytę księdza dobrodzieja po kolędzie zapowiadają przyszli. I oni wpadli w ręce rozpalonej jak kocioł piekielny niewiasty i dopiero pacierz głośno przez pobożnych chłopców odmawiany czarów siłę osłabił i Cecylię do opamiętania przywiódł.

Najbardziej w tym zdarzeniu poszkodowaną osobą okazała się nie sama Cecylia, lecz jej sublokator Wsłizło Remigiusz, który odmiennym będąc w swej seksualnej orientacji i płęć piękną w pogardzie mając, zmuszony do niemilych sobie praktyk, przez swych

koleżków - pederastów wyszydzony został i w depresji głębokiej się pogрузzył.

* * *

Jak z niewiasty cnotliwej jawnogrzesznicę bezwstydną uczynić, wzniecić w niej sprośne pożądania, na szwank jej reputację oraz dobre imię wystawiając:

Gumową lalkę zakupioną w sex - shopie imieniem niewiasty owej ochrzcić, lubczykiem przy tym macierając a następnie powietrze z lalki wypuścić i pod progiem niewiasty zakopać lubo też pod wycieraczkę położyć.

* * *

I kiedy tak fizyczkę na stosie postawiono, benzyną bezołowiową, wysokooktanową skropiono i wydawać się już mogło, że ratunku dla niej nijakiego nie będzie, nagle wśród tłumu znalazł się ktoś, kto w obronie nieszczęsnej się postawił.

- „Stop” - głos nagle i donośnie znajomy dobrze wszystkim zabrzmiał. „Ludzie, czyście powariowali?” Był to ksiądz dobrodziej we własnej osobie, zadyszany jeszcze od szybkiego truchtu, jakim na miejsce kaźni był przybiegł. Ludziska ucichli i rozstąpili się na boki, tworząc szpaler, którym ksiądz dobrodziej pod sam trzepak się przedostał, a tam stając powietrza w płuca dobrze nabrał i w te słowa się odezwał: „Ludzie! Jakże tak można? Do rozsądku waszego, zdrowego przemawiam i do sumień się odwołuję. Z jakiej to racji zgładzić kobietę, na podstawie bzdurnego posądzenia o czary chcecie?”

- „Krzywo na ludzi patrzyła, dzieciakom jedynki same stawiała.”

- „Przedmioty diabelskie w domu trzymała.”

- „Z diabłami się parzyła, Lucypera w zadek na znak poddaństwa całowała” - odezwały się głosy.

- „Podejrzenia jedynie to są, jakie na każdego z nas, mnie nie wyłączając rzucić można.” - Ksiądz dobrodziej na to. - „A jakie, pytam się ja was, dowody na jej winę macie?”

- Ksiądz dobrodziej toczył dokoła pełnym gniewu wzrokiem. - „Nawet w ciemnym średniowieczu oskarżonym szansę niewinności wykazania dawano.”

Ludzie zawstydzeni głowy pospuszczali, i nawet sam dozorca, który funkcję osiedlowego inkwizytora pełnił również się zmieszał i tylko medalik ze świętym Benedyktem, z którym nie rozstawał się dla ochrony przed czarami, w rękę międlit.

- Próbę wody zrobić, zaraz prawda wyjdzie na jaw - krzyknął nagle ktoś z tłumu. Był to Wsłizło Remigiusz wciąż urażony w swej homoseksualnej dumie. Młodzian przestraszył się, że jego hańba nie zostanie pomszczona i sięgnął po ostateczny argument. Pomysł ochoczo podchwycono i ksiądz dobrodziej nic już do gadania nie miał. Wiadomo: eksploracja przez wodę - rzecz niepodważalna. Jeśli niewiasta niewinna - wbrew temu, co drzewiej, nie znając dobrze praw fizyki sądzono - pławiona, na powierzchni unosić się będzie. Wiadoma sprawa: każde, nawet najszeptniejsze ciało, zanurzone w cieczy utraci na swej wadze tyle, ile ważyć będzie ciecz przezeń wyparta. Jeśli natomiast zanurzy się, tendencji żadnych do wypłynięcia nie wykazując, znaczyć będzie, że pławiona osoba czarostwem się para. Ostatnie badania naukowe wykazały wszak jasno, iż ciało, do którego przynależna dusza obarczona szatańskim znamieniem została pogrąża się w wodzie w tempie wprost proporcjonalnym do ciężaru gatunkowego grzechów ciężących na osobie będącej posiadaczem ciała owego i duszy onej nieszczęśliwej.

* * *

Powiedziano tedy fizyczkę nad staw, któreń za osiedlem jako jedyny ślad po planach inwestycyjnych budowy wielkiego supermarketu pozostał i pchnięto ją w przerębel. Poszła na dno jak kamień, woda tylko w przeręblu złowieszczo zabulgotała. Ludzie poczęli radować się i wiwatować, także na cześć Wślizło Remigiusza, któreń dzięki swej roztropności sprawił, że prawda zatriumfowała i tylko ksiądz dobrodziej coś tam niewyraźnie napomykał, że być może należało kobiecie przed pławieniem obuwie typu Spicegirls z nóg ściągnąć, jako, że to one, a nie grzechy ciężkie mogły być przyczyną zatonięcia nieszczęsnej, ale kto by tam teraz takich rzeczy słuchał. I ja tam byłem i odetchnąłem z ulga. Bo tylko ja wiedziałem, jak bliskim prawdy był ksiądz dobrodziej.

* * *

Tak niewiele brakowało, żeby głupi klecha pokrzyżował moje plany. Na szczęście czarcie moce czuwają nad swym wiernym sługą. Teraz ludzie wierząc, że zgładzili prawdziwą czarownicę uspokoją się i zaniechają dalszych poszukiwań. Muszę ten czas dobrze wykorzystać. Moja moc rośnie z każdym dniem, czuję to. Swoją drogą, trzeba będzie popracować jeszcze nad rzucaniem uroków na ludzi, bo psucie maszyn opanowałem do perfekcji. Zabawę miałem przednią, ale prawdziwe hokus - pokus zacznie się dopiero teraz. Przygotowałem już fetysze całego komitetu blokowego, gdy przyjdzie czas, włożę je wszystkie do kuchenki mikrofalowej. Inkubator do hodowli inkubów, który zainstalowałem w łazience pracuje na pełnych obrotach. Kiedy tylko trochę podrosną wypuszczę je na wolność, i wtedy nie tylko mój blok, ale całe osiedle zatrzęsie się w posadach.

ŁOWCY

Galaxter Wogów wmanewrował na orbitę Aldebrana, wykonał dwa pełne okrążenia planety a potem pod ostrym kątem zszedł w dół, celując w jeden z trzech oblanych oceanem zielonych kontynentów. Lądowanie odbyło się na leśnej polanie, nieopodal brzegu dużej rzeki, przy zachowaniu niezbędnych środków ostrożności.

W statku, który wylądował na powierzchni planety było dwóch Wogów. Byli oni naukowcami, prowadzili badania porównawcze różnych ras humanoidalnych zamieszkujących galaktykę. Pierwszy z nich - stary i doświadczony, brał udział w niezliczonych wyprawach badawczych. Był autorem wielu opracowań na temat inteligentnych form życia występujących w kosmosie, a jego kolekcja trofeów budziła podziw i zazdrość innych naukowców. Były tam spreparowane okazy najdziwniejszych gatunków z ponad tysiąca planet.

Dla drugiego z Wogów było to pierwsza wyprawa, jego kariera naukowa dopiero się zaczynała.

* * *

- Co jest z tym chłopakiem? - w sen Fabiana wdarty się naumyślnie za głośne słowa ojca. - Włóczy się gdzieś po nocach, a potem śpi całymi dniami. Ja w jego wieku harowałem jak wół i wszystkie zarobione pieniądze oddawałem rodzicom. A ten, nie dość, że nie pracuje, to jeszcze łajdaczy się nie wiadomo z kim.

- Daj spokój Stefan, to jeszcze dzieciak. - matka jak zwykle broniła syna. - Niech się bawi, póki jest młody.

- Wczoraj znowu wziął auto, i jeździł nie wiadomo gdzie, w popielniczce znalazłem pełno niedopałków ze śladami szminki jakiejś zdziry. Jeśli to jeszcze dzieciak, to strach pomyśleć, co z niego wyrośnie. Ja w jego wieku miałem jakieś plany, chciałem zostać kimś i wiedziałem, że uda mi się to osiągnąć tylko uczciwą, ciężką pracą...

Fabian leżał na wznak na łóżku w swoim pokoju i gapiąc się w plakat wiszący na przeciwległej ścianie od niechcienia przysłuchiwał się dobiegającej z kuchni rozmowie rodziców. Bla, bla, bla... znał to wszystko na pamięć, z dużym prawdopodobieństwem mógł przewidzieć dalszy ciąg rozmowy. Stary zaraz zacznie o narkotykach...

- Nie będę zaskoczony, kiedy okaże się, że nasz syn zażywa jakieś świństwa. To pewnie od tego jest taki blady i chodzi jak nieprzytomny. Widziałaś jego oczy?

- Przestań, Stefan. Co ty wygadujesz?

- Spytałem tylko, czy widziałaś jego oczy?

- Nie, nie widziałam, przecież nosi ciemne okulary.

- No właśnie: nie zastanawia cię fakt, że nasz syn od pewnego czasu nawet w domu nie ściąga ciemnych okularów?!

Fabian uśmiechnął się sam do siebie. Nie zamierzał przejmować się zrzędzeniem zgreba. Strata czasu. Lepiej spokojnie się wyspać, aż do wieczora. A kiedy zrobi się

zmierzch, jak zwykle weźmie auto, ruszy przed siebie i nie znajdzie się nikt, kto mógłby mu w tym przeszkodzić.

Na razie zbliżało się południe. Dzień był słoneczny, ale szczelnie opuszczone rolety utrzymywały w pokoju chłodny, dający poczucie bezpieczeństwa półmrok. Nagle złośliwy promyk słońca przecisnął się przez szparę między roletą a framugą okna. Bezcelnie, jednym cięciem przedzielił pokój i uderzył w poduszkę, tuż obok twarzy Fabiana. Chłopak wzdrygnął się z obrzydzeniem. Jednym susem wyskoczył z łóżka i poprawił roletę. Potem wyjął z szuflady szeroką, techniczną taśmę samoprzylepną i bardzo starannie przykleił roletę do framugi. Tak na wszelki wypadek. Wrócił do łóżka. Zасыpiając, spod przymrużonych powiek jeszcze raz popatrzył na plakat, na którym Ozzy Osbourne odgryzał głowę nietoperzowi.

* * *

Yog po cichu wymknął się z jaskini. Miał dość dobiegających go ze wszystkich stron nocnych odgłosów życia plemiennego - chrapania, bekania, popierdywania, a przede wszystkim ciężkiego posapywania mężczyzn przeplatanego zmysłowym jękiem samic. Krętą ścieżką zszedł nad rzekę. Była wyjątkowo gwiazdzista noc, tak jasna, że można było dostrzec każde pojedyncze źdźbło trawy, każdy kamyczek na brzegu rzeki. Yog przez chwilę patrzył do góry, na świecące punkty. Marzył, że któregoś dnia uda mu się do nich dotrzeć. Może znajdzie drogę, która tam prowadzi albo przyczepi sobie skrzydła. Zamacha nimi jak ptak i uniesie się w górę. Kiedy już dotrze do świecących punktów zbierze ich tyle, ile tylko będzie mógł, a potem wróci do jaskini i porozwiesza je pod sklepieniem. Wtedy jego pozycja w plemiennej hierarchii na pewno się podniesie i w jego legowisku pojawi się jedna z samic. Samice... często o nich myślał. Ale cóż, one wybierały legowiska mężczyzn silnych i lubiących walczyć, a do takich Yog się nie zaliczał.

Yog przestał myśleć o samicach i skupił swoją uwagę na kamieniu. Przez kilka ostatnich dni kamień nie dawał mu spokoju. Duży kamień, jakich pełno na brzegu rzeki, okrągły i płaski. Przed dwoma dniami Yog wpadł na to, aby wtoczyć go na pagórek, postawić pionowo i lekko popchnąć. Wtedy kamień zaczynał się toczyć, o wiele lepiej i szybciej niż kamień o jakimkolwiek innym kształcie. Okrągły kształt miał wpływ na toczenie, to Yog już odkrył ale nie udało mu się jeszcze przyporządkować temu odkryciu żadnej pożytecznej funkcji. Wierzył, że w końcu mu się to uda.

Pomysły przychodziły do głowy Yogi niespodziewanie i niektóre z nich były naprawdę dobre. Na przykład pomysł z giętym patykiem, na który napina się elastyczne włókno z jelita zwierza, a potem trzeba nałożyć krótszy, twardy i zastrzony patyk, naciągnąć i puścić. Przy odpowiedniej wprawie można ostrym patykiem trafić w zwierza albo we wroga, tak, żeby wbił się głęboko, raniąc lub zabijając. Ten pomysł przyniósł Yogowi uznanie całego plemienia. Przez pewien czas spała przy nim nawet samica. Niestety, po krótkim czasie już każdy umiał sobie zrobić coś do wypuszczania ostrych patyków i Yog znów zaczął być lekceważony. Wtedy samica przeniosła się na legowisko Koga, który wprawdzie niczego nie wymyślił, ale najzręczniejszym nauczył się posługiwać wynalazkiem Yogi. Kog był silny, dużo silniejszy od Yogi i nigdy nie wracał z łowów z pustymi rękami.

Yog wciąż rozmyślał siedząc na brzegu rzeki, kiedy nagle od strony lasu usłyszał rozpaczliwy krzyk. Krzyk śmiertelnie przerażonej samicy. Bez wahania zerwał się i pobiegł w kierunku ciemnej gęstwiny drzew, ignorując podstawową zasadę, którą znało każde dziecko w jego plemieniu. Brzmiała ona: nie wchodzić w nocy do lasu.

* * *

Andżelika z pasją wciągnęła białą kreskę usypaną na wieczku od puderniczki a potem zabrała się za swój image. Rozczesała długie czarne włosy. Patrząc w lustro stwierdziła, że ma podkrążone oczy. Cóż, jeśli prowadzi się intensywne życie... wszystko można przecież przykryć pod warstwą makijażu. Fluid, ostre cienie na powieki, dużo tuszu na rzęsy i jeszcze usta - w sam raz będzie wiśniowa szminka, którą znalazła w kosmetyczce matki. Jeszcze tylko obcisła bluzka kończąca się nad pępkiem i spódniczka tak krótka, że facetom gały powyskakują z orbit. Zapaliła papierosa i z zadowoleniem oglądała efekt swojej pracy. Nikt nie powiedziałby, że nie ma jeszcze szesnastu lat. „Wyglądam cool” - puściła oko do lustra. „Naprawdę super - sexy - cool, jak Britney Spears” - stwierdziła zadowolona. Dzisiaj wieczorem musi poderwać jakiegoś super faceta. Musi być przystojny i mieć dobrą brykę. Tak właśnie postanowiła i tak właśnie ma być. Włączyła radio, ale zaraz je zgasila, bo leciała jakaś starość, która ją wkurzała. „*Tańcz głupia, tańcz*”, co za szajs.

* * *

Wieczorem Fabian wreszcie się obudził. Ogarniało go narastające podniecenie. „Niesamowite uczucie, za każdym razem trochę silniejsze” - pomyślał. Zwłóknął się z łóżka i założył ciemne okulary. W kuchni nalał sobie kawy i zjadł kawałek szarlotki.

- Znowu gdzieś cię niesie? - usłyszał za sobą głos ojca.

- Na to wygląda - nie wysilił się z odpowiedzią.

- Nie myślisz chyba, że znowu pozwolę ci wziąć auto - ojciec tym razem postanowił być stanowczy. - Wybij to sobie z głowy.

- Myślę, że mi pozwolisz - Fabian odwrócił się w jego stronę. - Muszę coś załatwić, a auto jest mi w tym celu niezbędnym.

Podniósł ciemne szkła i przez kilka długich sekund patrzył prosto w oczy ojca, aż tamten spuścił wzrok i sięgnął do kieszeni. Wyjął kluczyki i bez słowa wręczył synowi.

- Dzięki, tato - Fabian jednym łykiem dopił kawę, po czym skierował się do drzwi. Wyszedł, zostawiając w kuchni ojca, który siedział teraz przy stole dziwnie oklapły, jak nadmuchiwana zabawka, z której uszło powietrze. Na podjeździe przed garażem stał Jeep Grand Cherokee - srebrne rury, czarny lakier i tapicerka z prawdziwej skóry - ukośne cacko, oczko w głowie starego. Fabian usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Czterolitrowy silnik zamruczał i łapczywie zaczął żłopać benzynę. Fabian wrzucił wsteczny, z piskiem wycofał z podjazdu. Włączył radio i ucieszył się, bo leciał właśnie jego ulubiony kawałek - „*Living on the edge of the night*”. Iggy Pop na dobry początek wieczoru, uśmiechnął się do siebie Fabian i nadepnął na gaz.

* * *

Yog nie zwracał uwagi na bijące go po twarzy gałęzie, drapiące ciało i czepiające się włosów kolczaste kłaczka. Przeskakiwał nad leżącymi kłodami, omijał zagradzające drogę pnie potężnych drzew. W pewnym momencie wypłoszył jakieś potężne zwierzę, które oddaliło się, chrząkając niezadowolone. Chwilę potem wpadł po kolana w śmierdzące bagno. Powoli, krok po kroku wycofał się, aż stanął z powrotem na twardym gruncie. Pobiegł dalej, omijając trzęsawisko szerokim łukiem. Przedzierał się w kierunku, z którego dobiegały go krzyki. Bał się, ale nie zamierzał stchórzyć. Był coraz bliżej, wołanie o pomoc stawało się coraz głośniejsze. Wreszcie dotarł na skraj dużej polany i oczom jego ukazał się zaskakujący widok: na środku stało samotne, uschłe drzewo. Gołe konary wyciągały się we wszystkich kierunkach. Do pnia drzewa przywiązana była samica. Dookoła drzewa

krążyło stado drapieżnych włochatych zwierzaków. Zwierzaki zacieśniały krąg, nic sobie nie robiąc z przeraźliwych krzyków samicy. Kiedy nadbiegł Yog wymachując grubym drągiem rozpierzchły się na wszystkie strony. Przywódca stada, najbardziej agresywny i zajadły odwrócił się jeszcze. Wydał z siebie groźny pomruk, który zamienił się w skowyt, kiedy kij Yoga wylądował na jego czaszce.

Yog podszedł bliżej. Teraz mógł dokładniej przyjrzeć się uratowanej. Była to najbardziej samicza samica, jaką widział w życiu. Skąpa przepaska na biodrach nie zakrywała ani trochę wdzięków, na które żaden samiec nie mógłby pozostać obojętny. Yog wyobraził sobie miny innych mężczyzn, kiedy przyprowadzi samicę do jaskini. Podszedł jeszcze bliżej, aby ją uwolnić i wtedy stało się coś, czego absolutnie się nie spodziewał. Dookoła jego kostek zacisnęła się nagle pętla i poczuł, że leci gdzieś do góry. Jednocześnie świat obrócił się do góry nogami. Gwiazdziste niebo znalazło się tam, gdzie powinna rosnąć trawa, i odwrotnie. Yog zawisł kołysząc się głową w dół. Wisiał tak przez pewien czas, kołysząc się miarowo. Kiedy weszło słońce, na łące pojawiły się dwie obce istoty, niepodobne do żadnych stworzeń, jakie Yog widział wcześniej.

* * *

Techno klub TRANSMISJA znajdował się za miastem. Był to duży budynek, zaprojektowany przez jakiegoś pieprzonego architekta ogarniętego obsesją latających spodków. Bryła tego tworu architektonicznego miała właśnie formę ogromnego latającego talerza, który przy lądowaniu zarył w glebę. Dookoła dyskoidalnej budowli ciągnął się rząd okrągłych, podświetlonych różnokolorowymi światłkami okienek przypominających okrętowe bulaje, a do wnętrza wchodziło się przez korytarz mający imitować śluzę.

Napęczniały od sterydów, wielki łysy ochroniarz stojący na bramce taksował wchodzących groźnym spojrzeniem. Na widok Fabiana zrobił wredną minę, jednak przybił na jego dłoni pieczętkę po czym niechętnie odsunął się na bok, wpuszczając go do środka. Wnętrze wypełniał tłum nabuzowanych piwem i chemią małałatów. Nasycone dymem powietrze przecinane światłem stroboskopu wibrowało w rytm szybkich i przekraczających swoją głośnością granice ludzkiej percepcji wygenerowanych przez zakwaszonego DJ'a transowo - industrialnych dźwięków. Zbici w tłum ludzie przeszkadzali sobie nawzajem usiłując tańczyć, a pomiędzy nimi sprawnie krążyli dealerzy rozprawiając dragi w ilościach, które zdołały by wykończyć stado słoni. Ludzie, którzy przychodzą w takie miejsca żeby się zrelaksować nie mogą być normalni, pomyślał Fabian.

Torując sobie drogę między spoconymi ciałami precyzyjnie się do baru. Tam znalazł wolne miejsce i posługując się językiem migowym zamówił piwo. Dopiero potem zaczął rozglądać się dookoła. Powoli, systematycznie przesunął wzrokiem po twarzach. Może ta z kolczykiem w nosie? Nic z tego, jest z facetem. Tamta wysoka blondyna? Nie, cholera, to transwestyta. Więc może ta z tatuażem? Postanowił jeszcze zaczekać. Zawsze był wybredny, a poza tym miał mnóstwo czasu. Rozejrzał się jeszcze raz dookoła i wtedy wzrok jego padł na szczupłą, czarnowłosą dziewczynę, która w tym momencie wyszła z toalety.

* * *

Andżelika czuła się bosko i rozsadzała ją energia. Po działce, jaką właśnie w siebie wciągnęła wszystko było naprawdę cool. Atmosfera w TRANSMISJI była cool, ludzie byli cool, muza była cool, a wychodząc z toalety dostrzegła przy barze faceta w ciemnych brylach, który wyglądał wyjątkowo cool. Postanowiła nie marnować czasu. Starannie

wyćwiczonym, podpatrzonym u Kate Moss niedbałym krokiem zblazowanej modelki podeszła do baru. Jakby czytając w jej myślach, facet w brylach przesunął się robiąc miejsce obok siebie. Uśmiechnął się i poczęstował Andżelikę papierosem. Chwilę potem postawił jej drinka. Był naprawdę cool. Wysoki i przystojny, miał w sobie coś, co ją fascynowało. Coś, czemu nie mogła się oprzeć, zupełnie jak w tej reklamie dezodorantu.

- Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? - spytała, czując pod czaszką przyjemne mrowienie.

- Zamierzam wyssać z ciebie trochę krwi, jestem wampirem - odpowiedział ze śmiertelną powagą. Roześmiała się. Faceci z poczuciem humoru zawsze mieli u niej wysokie notowania.

* * *

Fabian zjechał z szosy i skręcił w boczną drogę. Skończył się asfalt i jeep zaczął miękko kołysać na wybojach. - Zajebistą masz brykę - stwierdziła po raz kolejny Andżelika, a Fabian nie zadał sobie wysiłku, żeby podtrzymać konwersację. Jego umysł zaprzątnięty był teraz czymś innym, starał się paraliżować wolę dziewczyny.

- Gdzie my właściwie jedziemy? - spytała po chwili Andżelika. Wszystko, co się działo, cała ta historia bardziej przypominała sen niż rzeczywistość. W zasadzie nie powinna była godzić się na nocną przejażdżkę z nieznajomym, ale skoro to sen...

- Pokażę ci gwiazdy - powiedział.

- Gwiazdy są cool - stwierdziła, kiedy zatrzymali się na brzegu rzeki.

- Cool - powtórzył jak echo Fabian. Wyszli. Objęci, przez długą chwilę patrzyli w milczeniu na miliardy mrugających punkcików, układających się w Wielki Wóz, Mały Wóz, Niedźwiedzicę, Pegaza i nieskończoną ilość innych, nierozszyfrowanych kombinacji.

- Myślisz że tam, w tym całym kosmosie żyje ktoś jeszcze oprócz nas? - Andżelikę od czasu do czasu nurtował ten problem. - No wiesz, chodzi mi o tych zielonych koleś, którzy przylatują na Ziemię, żeby porwać ludzi i robić na nich swoje obrzydliwe, świńskie eksperymenty...

- Myślę, że nie - powiedział Fabian zdejmując ciemne okulary. - Kosmici to bajki dobre dla naiwnych - dodał. Potem odwrócił twarz w jej stronę. Szeroki uśmiech odstąpił dwa ostre, wampirze kły i Andżelika przeraźliwie krzyknęła. Chciała biec, uciekać przed siebie jak najdalej, ale niesamowite, fosforyzujące oczy Fabiana trzymały ją jak magnes, paraliżowały nie pozwalając zrobić kroku. Fabian zbliżył swoją twarz do jej twarzy, pocałował w usta długo i namiętnie. Potem musnął wargami jej policzek i przesunął językiem po szyi. Było to nawet podniecające. W następnej chwili Andżelika poczuła ukłucie i zapadła w błogie odrętwienie. W aucie grało radio. Nick Cave w duecie z Kylie Minogue śpiewali morderczą balladę „*Where The Wild Roses Grow*”.

* * *

Wogowie z zainteresowaniem przyglądali się złapanej w pułapkę zdobyczy. Dorodna samica oraz okazały samiec humanoidalnego, dominującego na Aldebranie gatunku. Piękna parka. Aldebrańczycy mieli ciała pokryte włosami, co jest charakterystyczne dla ras prymitywnych, jednak spod niskich czół spoglądały na łowców oczy, w których bez wątpienia czaiła się inteligencja, jaka dokładnie okaże się dopiero po serii testów. Już teraz można jednak zaryzykować hipotezę, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilkadziesiąt tysięcy lat gatunek ten rozwinie się do tego stopnia, że będzie w stanie

zmienić własną planetę w rój asteroidów lub po prostu w obłok pary wodnej. Historia wszechświata zna takie przypadki.

Pojmane egzemplarze zajmowały się kopulacją. Na widok Wogów samiec oderwał się od partnerki i rzucił się w ich kierunku, zatrzymała go jednak przezroczysta ściana. Uderzał w nią pięściami, szczyrzył zęby i coś wykrzykiwał. Uspokoił się, kiedy przeciążenie przykleiło go do podłogi.

Galaxter przemierzał kosmos w kierunku następnego celu. Była to trzecia w kolejności planeta w pewnym, liczącym dziewięć planet układzie słonecznym. Jakiś czas temu Wogowie zastawili tam pułapkę, teraz zamierzali sprawdzić, czy coś się w nią złapało...

* * *

Fabian otworzył oczy. Znow był wieczór a Ozzy Osbourne wciąż odgryzał głowę nietoperzowi. Fabian wstał i poszedł do kuchni. Rodziców nie było, kluczyki do auta leżały na stole. Włączył radio. Lecił porąbany program o kosmitach, latających spodkach i innych bzdetach. „Widziałem to dokładnie nad stodołą” - relacjonował słuchacz. „Było okrągłe i świeciło na kolorowo, jak te światła, co to na dyskotece puszczają.” Zmienił stację. Marilyn Manson - może być. Szybki rytm utworu „Rock” spowodował, że przez głowę Fabiana przemknął flashback z ostatniej nocy. Hałas i tłok w TRANSMISJI. Dziewczyna, którą zahipnotyzował przy barze. Nocna przejażdżka nad rzekę. Gwiazdy, Nick Cave i słony smak krwi. Nie wyssał wszystkiego, choć miał na to straszną ochotę. Napił się tylko trochę, tyle ile musiał, potem ją zostawił. Dziewczynie nic nie będzie. Rano nie powinna niczego pamiętać, może tylko jakiś nieprzyjemny sen. Laska musiała być na prochach, bo teraz rozsadało mu czaszkę. Przejebane być wampirem w dzisiejszych czasach, pomyślał.

Nie da się ukryć, Fabian był wampirem. Początkowo ukrywał prawdę sam przed sobą, jak człowiek z problemem alkoholowym, który wmawia sobie, że wszystko jest w porządku i żaden problem nie istnieje. Próbował z tym walczyć. Czy to możliwe, że był jedną z tych istot, w jakie wcielali się Klaus Kinsky, Bela Lugosi, czy Tom Cruise? Bycie wampirem wydawało mu się głupie i anachroniczne. Z czasem jednak pogodził się z losem, a nawet, jeśli można tak powiedzieć, zasmakował w tym. Odkrył w sobie kilka nowych umiejętności. Nauczył się czytać w myślach. Nauczył się narzucać innym swoją wolę. I nauczył się, że najważniejsze w życiu jest robienie rzeczy, na jakie się ma ochotę.

W jaki sposób został wampirem? Zastanawiał się nad tym wielokrotnie i doszedł do wniosku, że jest to konsekwencja pewnego incydentu, jaki wydarzył się pół roku wcześniej, kiedy to został ukąszony przez małego Rumuna. Dzieciak miał mniej więcej siedem lat i przyczepił się do Fabiana na ulicy. Z wyglądu nie różnił się niczym od innych dzieciaków w jego wieku, no, może z wyjątkiem tego, że był wyjątkowo brudny i wyjątkowo namolny. Domagał się pieniędzy, chwycił Fabiana za rękę i nie chciał puścić. Fabian próbował odczepić go od siebie i wtedy poczuł, jak w dłoń wpijają mu się ostre jak szpilki zęby gówniarza. Z rany obficie tryskała krew i Fabian musiał pojechać na pogotowie, gdzie założyli mu siedem szwów. Do dzisiaj pozostała mu blizna po tym ukąszeniu. Prawdopodobnie właśnie wtedy został zarażony.

* * *

Parking przed klubem TRANSMISJA, godzina 21.17

Porucznik Mulda i porucznik Skulska z wydziału ds. zjawisk paranormalnych siedzieli

w służbowym Polonezie i obserwowali ludzi wchodzących do klubu. W radio nadawali ulubioną audycję porucznika Muldy, „Cuda - Niewidy”.

„Najpierw widzę oślepiające światło, potem pojawiają się oni. Są niscy i obrzydliwi” - relacjonowała słuchaczka, jakoby regularnie porywana przez UFO. „Zabierają mnie na pokład tego swojego statku i robią różne badania. W moich zębach wywiercili mikrokanaliki, włożyli mi też do głowy nadajnik...”

- Chyba nie wierzysz w te bzdury? - rudowłosa porucznik Skulska z dezaprobatą pokręciła głową. - UFO nie istnieje.

- Wierzę, bo chcę wierzyć - powiedział z naciskiem porucznik Mulda. - Prawda jest poza nami - dodał sentencjonalnie.

- Prawda jest taka, że zamiast zajmować się jakimś nieistniejącym UFO musimy złapać wampira, który według naszego tajnego informatora grasuje tutaj od pewnego czasu - sceptyczna porucznik Skulska zawsze podchodziła do spraw bardziej rzeczowo. - Lepiej sprawdźmy broń, może być gorąco.

W czasie, kiedy sprawdzali swoje naładowane srebrnymi kulami służbowe P - 64, do „Cudów - Niewidów” dodzwonił się kolejny słuchacz. „Podejrzewam, że mój syn jest wampirem” - powiedział, a porucznik Mulda zgłosił radio i spojrzał z triumfem na porucznik Skulską. - „Syn unika światła i śpi cały dzień, a wieczorem bierze auto i gdzieś jeździ, prawdopodobnie poluje na ofiary” - ciągnął mężczyzna. - „Nie mogę mu się przeciwstawić, bo hipnotyzuje mnie wzrokiem.”

Zapał zmrok, porucznik Mulda zdecydował, że czas zbadać teren. Informacja, jaką otrzymał od tajnego informatora ukrywającego się pod kryptonimem Długi Język nie była precyzyjna. „Młody człowiek, wiek około dwudziestu lat, jeździ dobrym wozem”. Taka charakterystyka pasowała do wielu osób, które się tutaj pojawiały. Pod TRANSMISJĘ co chwila podjeżdżały auta, niektóre naprawdę dobre, jak chociażby ten Grand Cherokee, z którego wysiadł młody człowiek w ciemnych okularach.

- Pamiętaj, nie ufaj nikomu - powiedział porucznik Mulda do partnerki. - Prawdopodobnie w grę wchodzi wyjątkowy rodzaj aktywności paranormalnej.

Postanowili się rozdzielić. Porucznik Skulska usiadła przy barze, podczas gdy porucznik Mulda poszedł pokręcić się wśród ludzi.

* * *

Andżelika czuła się fatalnie, tak zjazdowo, jak jeszcze nigdy. Poprzedniego dnia maksymalnie przedobrzyła. Obudziła się rano nad rzeką, nie pamiętając w jaki sposób i dlaczego się tam znalazła. Była osłabiona i bolała ją szyja, na której odkryła dwa skaleczenia. Przez cały dzień obiecywała sobie, że nigdzie dzisiaj nie idzie, że zostaje w domu i że rzetelnie odstawi prochy, przynajmniej na jakiś czas, potem jednak przyszedł wieczór i... To naprawdę ostatni raz, obiecała sobie wciągając nosem działkę w damskiej toalecie, w wiadomym klubie. Poczowała się trochę lepiej, ale kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła, że jej odbicie jest rozmazane. Zaczyna się faza, pomyślała i wyszła z toalety.

Przy barze siedział ten chłopak w ciemnych brylach, z którym wczoraj przez chwilę rozmawiała. Jak mógł jej się podobać? Był blady, zbyt chudy i w ogóle taki wymoczkowaty, stanowczo nie w jej typie. Rozmawiał teraz z jakąś rudą babką, która wpatrywała się w niego jak urzeczona. „Też mi uwodziciel” - wzruszyła ramionami Andżelika i poszła nasycić się pulsującymi bitami wydobywającymi się z głośników.

* * *

- Tak naprawdę jestem policjantką z wydziału ds. zjawisk paranormalnych - mówiła porucznik Skulska do przystojnego młodego człowieka, którego właśnie poznała przy barze. - Razem z moim partnerem, porucznikiem Muldą szukamy wampira.

- Wampira? - chłopak z niedowierzaniem pokręcił głową. - Wciskasz mi kit. Nie ma wampirów.

- Wampiry są, jeden z nich przychodzi tutaj - upierała się porucznik Skulska. Nie wiedziała dlaczego, ten przystojny młody człowiek budził w niej wyjątkowe zaufanie. Czuła, że jeśli powie mu wszystko co wie, będzie mogła liczyć na jego pomoc.

- Może opowiesz mi o tym dokładnie w jakimś spokojniejszym miejscu. Tutaj jest straszny hałas - powiedział chłopak i porucznik Skulska stwierdziła, że to świetny pomysł. Faktycznie, hałas był nie do wytrzymania. Skierowali się w stronę wyjścia.

Na parkingu chłopak poprowadził ją w stronę czarnego Jeepa, który już wcześniej bardzo jej się spodobał. Marzyła, aby się nim przejechać, zapowiadał się naprawdę miły wieczór. Miała już wsiąść do auta, kiedy usłyszała trzask odbezpieczanej broni. Za nimi stał porucznik Mulda.

- Nie ruszaj się wampirze i nie próbuj swoich sztuczek, bo nafaszeruję cię srebrem - krzyknął, celując ze swojego P - 64 w sympatycznego chłopaka.

- Coś ci się pomyliło, Mulda - powiedziała porucznik Skulska i na wszelki wypadek wyciągnęła z torebki swój pistolet. - Ten chłopak jest po naszej stronie.

- Nie wierz w to, Skulska, on cię zahipnotyzował. To wampir, którego szukamy.

- Wampiry nie istnieją, podobnie jak UFO - porucznik Skulska wymierzyła broń w swojego partnera. - Zawsze byłeś nawiedzony, Mulda, ale teraz kompletnie ci odbiło, więc lepiej odłóż broń zanim zrobisz komuś krzywdę.

* * *

Andżelika zaczynała odzyskiwać dobre samopoczucie. Obserwowała ambientowe dźwięki, widziała jak wydobywają się z głośników w postaci kolorowych, krystalicznie regularnych kształtów w rytmie doskonale zsynchronizowanym z biciem jej serca. Patrzyła na innych ludzi, którzy pod wpływem muzyki stawali się półprzeźroczyści i ucieszyła się, że może widzieć ich wnętrzości. Zafascynowała obserwowała piwo spływające przełykami do żołądków, dym papierosowy wypełniający płuca i pulsujące serca, w rytm muzyki pompujące ciemną krew. Krew... Ciekawe, jaki ma smak... - myślała Andżelika. - Właściwie, dlaczego nie miałabym tego zrobić? Wpić się zębami w czyjąś szyję i spróbować. Na przykład ten łysy w dresie, wygląda bardzo apetycznie.

- Hej - powiedziała do stojącego obok niej dresiarza - mam na ciebie dziką ochotę, wyjdziemy gdzieś?

W tym momencie stało się coś dziwnego. Drzwi wejściowe zamknęły się z głośnym sykiem. Stroboskop zaczął migać jakby za chwilę miał eksplodować. Podłoga drżała i wibrowała a zaraz potem nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, jak w zepsutej windzie, która za szybko rusza do góry. Ludzie przewracali się jedni na drugich, ktoś histerycznie krzyczał, wybuchła panika. Odjazd na maksa, pomyślała Andżelika i nie przejmując się już niczym wgrzyła się w szyję łysogo.

* * *

Porucznik Mulda oniemiały patrzył, jak dyskoidalna bryła techno klubu TRANSMISJA

odrywa się od ziemi i unosi się nad nią, błyskając różnokolorowymi światełkami. Wtedy w powietrzu pojawił się drugi, identyczny obiekt. Chwilę oba latające talerze wirowały dookoła własnych osi a następnie rozpędziły się do nieprawdopodobnej prędkości i w ciągu kilkunastu sekund stały się małymi jasnymi punktami na horyzoncie.

- A nie mówiłem - krzyknął. - UFO istnieje. Odwrócił się w stronę swojej partnerki, która stała obok i mrugała oczami, jakby budziła się z głębokiego snu. Zdezorientowana patrzyła na trzymany w ręku pistolet.

- Co się stało? - spytała.

- Miałem kontakt z niezidentyfikowanymi obiektami latającymi w liczbie dwóch, klub TRANSMISJA okazał się być jednym z nich. Następnie obiekty odleciały w kierunku południowo - wschodnim. Wcześniej zostałaś zahipnotyzowana przez wampira i gdyby nie moja interwencja... Zresztą, opiszę to dokładnie w raporcie.

- UFO odleciało, oczywiście, rozumiem. - Inspektor Skulska zdobyła się na sarkastyczny ton, co znaczyło, że odzyskuje równowagę ducha. - Mam rozumieć, że wampir też odleciał?

Inspektor Mulda rozejrzał się wokół. Po chudym chłopaku w ciemnych okularach nie było śladu. Zniknął jak gdyby go nigdy nie było, razem ze swoim Jeepem Grand Cherokee.

* * *

Akcja TRANSMISJA zakończyła się powodzeniem. Wogowie konwojowali statek - pułapkę w drodze na swoją planetę. Ponad setka młodych, zdrowych osobników obojga płci powinna im wystarczyć do dokładnego zbadania tej inteligentnej, humanoidalnej rasy zamieszkującej trzecią w kolejności planetę w pewnym, skazanym na rychłą zagładę, jeśli wierzyć galaktycznym prognozom katastrof i kataklizmów, układzie słonecznym.

ODLOT NA WSCHÓD

Było zimno. Miasto jeszcze spało, ale pierwsze śmieciarki wyjechały już na ulice. Patrzył na wszystko z góry, z dachu wieżowca. Czekał na wschód słońca. Miasto, i to, co się w nim działo już dawno temu przestało go interesować.

W tym momencie zza gór wychynął mały rąbek słonecznej tarczy. Z satysfakcją pomyślał, że jest pierwszą osobą w mieście, która widzi tego dnia wschodzące słońce. Właściwie specjalnie w tym celu kilka lat temu kupił pracownię dobudowaną na dachu najwyższego w mieście drapacza: żeby mieć na własność, wyłącznie dla siebie kilkanaście sekund, może pół minuty wschodu słońca. Ktoś stojący w tej chwili na ulicy dostrzegłby dopiero jasną poświatę rozświetlającą niebo na wschodzie. On już je widział. Wtedy był szczęśliwy.

Pamiętał, jak kiedyś zwierzył się przyjacielowi ze swojej potrzeby posiadania na wyłączność tych kilku chwil.

- Jesteś świr - stwierdził wtedy Stefan - kup sobie lepiej tapetę ze zdjęciem wschodu słońca, będziesz mógł się na nią gapić cały dzień.

Stefan pewnie miał rację. Przeważnie miał rację. Bywał cyniczny, ale dzięki swojemu pragmatycznemu podejściu do życia świetnie nadawał się na współnika. Razem założyli firmę Clockwork Orange Software i pisali programy komputerowe, najczęściej gry. Zrobili kilka naprawdę dobrych, między innymi "Świat przemocy", który stał się prawdziwym przebojem.

Ale to było dawno temu, kiedy Stefan jeszcze żył.

Teraz słońce wystawało zza gór coraz bardziej i bardziej i cień zalegający dolinę, w której usadowiło się miasto powoli topniał aż gdzieś wsiąkł. W nocy wiatr oczyścił powietrze ze smogu i widoczność była na tyle dobra, że przez swoją wojskową lornetkę mógł dostrzec poszczególne drzewa rosnące na zboczach gór.

- Już niedługo będę mógł ich dotknąć - pomyślał - prawie zapomniałem, jaki jest dotyk sosnowej kory. Miękkość mchu. Zapach żywicy. Szum wiatru w koronach drzew i stukanie dzięcioła. To wszystko już niedługo.

Za kilka godzin stojące w korkach, zderzak w zderzak samochody wyprodukują tyle spalin, że gęsta ich chmura, jak co dzień otoczy miasto szczelnym kloszem, co w połączeniu z letnim skwarem spowoduje, że cała dolina zamieni się w gigantyczną kuchenkę mikrofalową. Wtedy nie będzie mógł już przebić wzrokiem błękitno - szarej zasłony, która oddzieli go od gór. Ze współczuciem pomyślał o ludziach, którzy żyjąc tam, w dole muszą poruszać się po zatłoczonych i śmierdzących ulicach, oddychać ciężkim od zawartego w nim ołowiu powietrzem. Stefan powiedziałby, że człowiek, podobnie jak szczur jest gatunkiem, który potrafi dostosować się do życia w każdych warunkach.

On nie musiał. Nie był na dole od czasu śmierci Stefana. Dokładnie od trzech lat.

Wrócił do mieszkania. Dopiero teraz poczuł zmęczenie, będące rezultatem całonocnej pracy. Zawsze pracował w nocy, w dzień spał. Pomyślał, że już niedługo będzie musiał zmienić swoje zwyczaje. Mieszkając w górach, trzeba będzie dostosować się do rytmu

przyrody. „Powrót do natury. Stefan miałby się z czego pośmiać” - przyszło mu do głowy.

Spojrzał na swoje dzieło. Było prawie gotowe. Spróbował wyobrazić sobie, co na to wszystko powiedziałby Stefan. Pewnie coś w rodzaju "kompletnie ci odbiło, stary" albo "załatwię ci dobrego lekarza". Chociaż najprawdopodobniej zaaplikowałby mu swoją własną, wielokrotnie sprawdzoną i niezwykle skuteczną terapię: całonocny rajd po mieście, szlakiem knajp, w których serwuje się mocne trunki i głośną muzykę. Tak spreparowany dwuskładnikowy koktajl (Stefan utrzymywał, że do smaku dorzucić można jeszcze soczystą blondynkę, należy jednak pamiętać, że jej IQ powinno przekraczać 99) był jedną z tych rzeczy, które działały niezwykle krzepiąco na jego kruchą psychikę, a które odeszły bezpowrotnie wraz ze Stefanem.

Tak, Stefan był świetnym przewodnikiem w tego typu terapeutycznych eskapadach. Znał wszystkie chyba knajpy w mieście. Znał też ludzi, z którymi znajomość jest elementarnym warunkiem zakosztowania prawdziwego smaku wspomnianego wcześniej koktajlu: alfonsów, barmanów, cwaniaków, dealerów, eksperymentatorów, freakowców, gangsterów, hackerów, ignorantów, jołopów, klezmerów, laseczki, łotrów, modelki, narkusów, odkrętów, poetów, rockmanów, speców od tatuażu, upierdliwców, wykidajłów, yuppiesów a nawet kilku zбочeńców.

Wszyscy oni umarli razem ze Stefanem.

* * *

Opis gry komputerowej "Świat przemocy" wydanej przez Clockwork Orange Software:

Szaleni naukowcy w wojskowych laboratoriach od lat starali się wyhodować doskonałych żołnierzy, humanoidalne maszyny do zabijania i w końcu im się to udaje. W wyniku doświadczeń na ludzkim materiale genetycznym powstaje odrażająca rasa. Eksperyment wymyka się jednak spod kontroli i klony wydostają się na wolność. Siedmioosobowy oddział najbardziej bezwzględnych zabójców, jacy kiedykolwiek istnieli wypowiada wojnę ludzkości. Klony niszczą całe miasta, siejąc śmierć i spustoszenie.

Zostajesz wybrany do specjalnej misji. Twoim zadaniem jest fizyczna eliminacja tych bezlitosnych potworów. To jedyny sposób, aby ich powstrzymać, a ty jesteś jedynym człowiekiem, któremu może się to udać.

Wkraczasz w świat przemocy i jesteś zdany wyłącznie na siebie. Aby przeżyć, musisz stać się taki sam, jak twoi przeciwnicy: szybki, sprytny, a przede wszystkim bezwzględny. Poza tym dostajesz do swojej dyspozycji prawdziwy arsenał: począwszy od baseballowego kija, przez piłę łańcuchową, rewolwer Magnum, pistolet maszynowy uzi, miotacz ognia, bazookę, aż po LWF (Laserowy Wypruwacz Flaków).

Życzymy dobrej zabawy!

* * *

Zdarzyło się to całkiem niespodziewanie. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Brzmi to może banalnie, ale śmierć Stefana również była banalna. Jego pech polegał na tym, że na ulicy, którą właśnie przechodził, jak się później okazało, dwa konkurencyjne gangi przystąpiły do wyrównywania porachunków.

Kilkaście metrów od niego eksplodował samochód, zamieniając nagle i bez ostrzeżenia zawsze cichą do tej pory i spokojną ulicę Philipa K. Dicka w miejsce pełne hałasu i latających w powietrzu odłamków szkła i metalu. Potem nic już nie widział, leżąc na chodniku i próbując zrozumieć, co się właściwie stało. Ktoś zaczął przeraźliwie

krzyczeć, może to on sam krzychał. Chwilę później...

* * *

...Uderzyła go cisza. Znajdował się w ponurym lesie. Potężne dęby i buki o grubych pniach otaczały go niczym nogi ołowianych olbrzymów. Panował zielono - szary półmrok. Duszący zapach - wilgoć i zgnilizna - przywodził mu na myśl cementarz. To były pierwsze wrażenia.

Co to za miejsce? Jak się tu znalazł? Spojrzał za siebie. Zobaczył zwalisko zmurszałych, powalonych wichurami i starością pni, porośniętych świecąca pleśnią, oplecionych wijącym się jak żmije bluszczem.

Spojrzał w przeciwną stronę. Przed sobą miał wytyczoną przecinkę wśród drzew, coś na kształt alei, właściwie tunelu, gdyż rozłożyste konary drzew łączyły się i spletały nad jego głową, całkowicie zasłaniając niebo. Wyobraził sobie, że znajduje się w głównej nawie jakiejś mrocznej gotyckiej katedry. Gdzieś daleko las widocznie kończył się, bo mógł dostrzec jasne światło. Postanowił tam dotrzeć jak najprędzej. Las nie podobał mu się. Panowała w nim złowroga, przytłaczająca martwota. Czasami, tuż przed burzą, zanim uderzą pierwsze pioruny, można wychwycić moment, kiedy wszystko, nawet wiatr, na chwilę się uspokaja. Zapada wtedy cisza, jednak odczuć można jakieś napięcie, dziwny niepokój, coś bliżej niesprecyzowanego, a zarazem bardzo silnego, jakby groźbę tego, co ma za chwilę nastąpić.

Właśnie coś takiego wisiało w powietrzu. Nie słychać było żadnych ptaków. Szedł powoli, a stopy zapadały się w miękką jak gąbka ściółkę, która całkowicie tłumiała odgłos kroków. Obawiał się, że w którymś momencie pod stopą nie wyczuje twardego gruntu i zapadnie się w ciemną otchłań. W dodatku miał to nieznośne uczucie, że jest nieustannie obserwowany przez kogoś, kto czai się w gęstwinie. „Paranoja” - przyszło mu do głowy. Starając się więcej o tym nie myśleć szedł w kierunku światła.

Gdy po kilkunastu minutach dotarł na skraj lasu, był cały spocony. I nagle oczom jego ukazała się widok tak wspaniały, że w jednej chwili zapomniał o przygnębieniu. Zaskoczony, mimowolnie przystanął i mrużąc oczy podziwiał wspaniałą panoramę, która rozpościerała się przed nim. Oblana słońcem zielona dolina. Fioletowe od wrzосу stoki, porośnięte kępami jałowców, falujące w rytm kołysanych wiatrem soczystych, gęstych traw spływały miękko w dół, ku leniwej rzece wijącej się łagodnie korytem wytyczonym przez dno doliny. Było w tym widoku coś tak czystego, że omal się nie rozplakał. Nigdy wcześniej przyroda nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Pomyślał, że kiedyś dawno temu, przed wiekami dokładnie tak musiało wyglądać miejsce, gdzie obecnie rozsiadło się jego miasto. Olbrzymi, śmierdzący moloch, w którym spędził większość swojego życia, nie zdając sobie nawet sprawy z istnienia miejsc takich, jak to.

O niczym, nigdy wcześniej nie marzył tak, jak teraz o tym, żeby mieć teraz pod stopami miękką, sprężystą trawę. Spocząc na płaskim, rozgrzanym słońcem kamieniu. Wsłuchać się w spokojny szum wody i w senne buczenie owadów krążących nad kwiatami. Czuć na całym ciele ciepły powiew letniego wiatru. Patrzyć, jak krystalicznie przejrzysty nurt rzeki co pewien czas burzony jest przez rybę nurkującą w powietrzu, ponad falą. Spod przymkniętych powiek obserwować jastrzębia zakreślającego kręgi gdzieś wysoko w górze, na lazurowo czystym niebie. Nie myśleć o niczym. Niczym się nie martwić i już nigdy, nigdzie się nie śpieszyć.

Istniała tylko jedna przeszkoda. Wejścia do zielonej doliny broniło ogrodzenie z solidnych, stalowych prętów. Żelazne sztachety, wysokie na kilka metrów, zakończone

ostro niczym włócznie skutecznie odwodziły od zamiaru pokonania przeszkody górą. Ogródzenie ciągnęło się w obie strony, wzdłuż obrzeża doliny i wewnętrzny głos mówił mu, że nie ma nawet sensu próbować szukać innego przejścia. Zresztą brama była tutaj, naprzeciw wyjścia z lasu, a dwa jej skrzydła wiązał gruby, zardzewiały łańcuch spięty wielką, masywną kłódką.

Wtedy usłyszał za sobą ten odgłos. Suchy trzask łamanej gałązki, albo... Odwrócił się gwałtownie. Stali kilkanaście metrów za nim, na granicy lasu. Ich twarze skryte były w cieniu, ale i tak wiedział, z kim ma do czynienia. Po prostu wiedział. Nie był nawet zaskoczony. W tym dziwnym miejscu, w którym nie wiadomo jak się znalazł, wszystko było możliwe.

Podchodzili powoli, miał więc czas, żeby przyjrzeć się im dokładnie. Było ich siedmiu. Wszyscy wyglądali identycznie. Łachmany, strzępy kombinezonów i wojskowych mundurów okrywały wielkie, nienaturalnie umięśnione ciała. Uzbrojeni po zęby w różne śmiercionośne wynalazki, na pierwszy rzut oka przypominali ludzi, jednak ludźmi nie byli. W ich czaszkach znajdowały się elektroniczne chipy, dzięki którym mogli porozumiewać się między sobą bez słów. Poruszali się niezgrabnie, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko pozory. Gdy zajdzie potrzeba, potrafią być szybcy. Szybcy, niebezpieczni i okrutni jak najdziksze zwierzęta, tacy właśnie byli. Takimi ich kiedyś stworzył.

Stali teraz i obserwowali go w milczeniu, a on nie mógł się zdecydować, co jest gorsze: patrzeć w otwory lufowe wycelowanej w siebie broni, czy w ich szklane, pozbawione wyrazu oczy. Mokrymi od zimnego potu plecami przywarł do żelaznego ogrodzenia i bardzo nie chciał, żeby było po nim widać, że się boi.

- No i co teraz, mały człowieczku? - Odezwał się wreszcie jeden z nich, a słowo „człowieczek” zabrzmiało w jego ustach jak najgorsza obelga.

Palec na języku spustowym karabinu poruszył się bardzo szybko i ten ruch to była ostatnia rzecz, jaką Stefan zdołał zobaczyć.

* * *

Czas spędzony w szpitalu nie zapisał się zbyt dobrze w jego pamięci. Podobno przez kilka tygodni nie odzyskiwał przytomności, tak, że o kolejnych operacjach, które przeszedł dowiedział się dopiero od młodej pielęgniarki, która się nim opiekowała.

Musiał się chyba zmienić. Zamknął się w sobie. Stał się małomówny i nie próbował nawet zainteresować się ową pielęgniarką, mimo, iż reprezentowała typ, który dawniej szczególnie go pociągał: hojnie wyposażona przez naturę wysoka, długonoga blondynka z ładnym uśmiechem i z IQ zdecydowanie przekraczającym 99.

- To tylko szok pourazowy - stwierdził psycholog, z którym spotkał się, gdy jego długi pobyt w szpitalu dobiegał końca - stany depresyjne i lęki powinny niebawem ustąpić. Musi pan tylko nauczyć się oddzielać rzeczywistość od wytworów swojej fantazji. Powinien pan też pozbyć się jak najszybciej poczucia winy za to, co się stało, aby móc znowu normalnie funkcjonować.

Tak mówił psycholog, ale on wiedział swoje: nigdy już nie będzie tym samym człowiekiem, co dawniej. Stefan umarł.

* * *

Po wyjściu ze szpitala powrócił do swojej pracowni na dachu wieżowca i od tego czasu przestał ją w ogóle opuszczać. Zerwał też wszelkie kontakty ze światem (z

wyjątkiem oczywiście tych niezbędnych, które utrzymywał za pośrednictwem telefonu).

Telefon był jedynym urządzeniem medialnym, które z konieczności tolerował. Komputera pozbył się zaraz po powrocie, wpychając go w ciemną i śmierdzącą gardziel zsypu na śmieci. Przez chwilę słyszał jeszcze, jak jego do niedawna niezastąpione narzędzie pracy spada w dół, obijając się o ściany szybu, aby w końcu gdzieś w dole roztrzaskać się z hukiem wybuchającego monitora.

* * *

... a teraz poranny serwis informacyjny w skrócie strzelanina w centrum miasta jest prawdopodobnie dalszym ciągiem wojny gangów odcięte ucho które porwacze przystali rodzinie uprowadzonego przed tygodniem dyrektora koncernu jak potwierdzają eksperci należy do porwanego dziś rano nad rzeką znaleziono zwłoki młodej kobiety przypuszcza się że jest to kolejna ofiara seryjnego mordercy zwanego łowcą róż sfrustrowany trzynastolatek zabił swoich rodziców ponieważ jak twierdzi nie chcieli oni kupić mu nowej gry komputerowej...

* * *

Telewizor i radio opuściły jego mieszkanie wkrótce potem tą samą drogą, co uprzednio komputer ponieważ zauważył, że codzienne wiadomości podsycają w nim już i tak wielkie poczucie winy za wszelkie zło tego świata.

Od tego czasu jego jedyną rozrywką stało się obserwowanie wschodów słońca.

* * *

Chyba właśnie w czasie jednego z tych poranków wpadł na pomysł, aby wynieść się z miasta i zamieszkać w górach, w opuszczonej chacie. Zapragnął żyć z dala od ludzi i od tych wszystkich sprzętów i urządzeń, które jak mu się dawniej wydawało, ułatwiały mu życie, a bez których, jak obecnie stwierdził, mógł doskonale się obejść.

Od tego czasu nie przestawał myśleć o ucieczce w góry. Realizacja tego przedsięwzięcia, pozornie dość prosta, napotkała jednak na przeszkodę nie do przejścia. Sama myśl o tym, że musiałby zostawić swoje bezpieczne mieszkanie i znaleźć się na ulicy wywoływała u niego paniczny strach.

On, który dawniej kochał miasto do tego stopnia, że często opuściwszy nad ranem jakąś duszną i zadymioną knajpę, błądził wąskimi, krętymi uliczkami starych dzielnic, lub też spacerując ulicami w godzinach szczytu obserwował wiecznie śpieszących się ludzi, teraz nie mógł zdobyć się na pójście do kiosku po papierosy.

Czy obawiał się czegoś konkretnego? Właściwie nie, choć przecież każdy jadący ulicą lub zaparkowany przy chodniku samochód mógł okazać się wybuchającą pułapką, a każda ulica mogła należeć do terytorium jakiegoś gangu. Nie to jednak było najgorsze. Miasto stało się dla niego uosobieniem "świata przemocy". Budziło w nim irracjonalny, obsesyjny i nieprzezwycięzalny lęk.

Skoro nie mógł zdobyć się na to, żeby przekroczyć próg mieszkania, wejść do windy, zjechać nią na dół a następnie wyjść na ulicę, w jaki sposób miałby przebyć całe miasto?

Rozwiązanie tego problemu, proste i oczywiste, spłynęło na niego dopiero po kilku miesiącach nieustannych rozmyślań.

Skrzydła! Zbuduje dla siebie skrzydła i z ich pomocą wydostanie się z tego przeklętego miasta. Doleci tam, gdzie będzie chciał i nikt nie będzie w stanie mu w tym

przeszkodzić.

- Skrzydła! - cieszył się jak dziecko - dlaczego wcześniej na to nie wpadłem!

* * *

Teraz mając przed sobą nowy, konkretny cel z zapałem przystąpił do jego realizacji. Pewnych problemów przysporzył mu początkowo brak odpowiednich materiałów, ale i z tym jakoś sobie poradził.

Pierwszą rzeczą, jaką musiał wykonać był stelaż, lekki a jednocześnie bardzo wytrzymały. Idealnym surowcem okazały się cienkie ale mocne pręty bambusowe. Trochę żał mu było ulubionego kompletu bambusowych mebli, które kiedyś kosztowały go kupę forsy, ale po krótkim czasie stwierdził, że i tak nie będą mu one więcej potrzebne.

Aby osiągnąć odpowiedni ich kształt, wyginał pręty nad parą, tak, żeby nie pękały. Po dwóch tygodniach doszedł w tym do perfekcji. Kiedy stelaż był już gotowy, przyszedł czas na obleczenie go odpowiednim materiałem. Prześcieradła, które początkowo chciał wykorzystać, niezbyt się do tego celu nadawały. Zdecydował, że najlepsze będzie tworzywo sztuczne. Zgrzewanie i łączenie ze sobą reklamówek, toreb, worków i woreczków foliowych okazało się zajęciem potwornie żmudnym, ale efekt był zadowalający.

Teraz, kiedy skrzydła były już prawie gotowe zaczął pracować nad odpowiednią uprzężą, która pozwoliłaby mu przypiąć je do ramion.

* * *

Właściwie wszystko już było gotowe. Wciąż jednak nie mógł się zdecydować, jak ptak, który zwleka z odlotem do ciepłych krajów. Delektował się myślą, że już wkrótce stanie na krawędzi dachu, rozpostrze skrzydła i... Postanowił, że stanie się to w nocy. Nie chciał, żeby jego przelot nad miastem został przez kogokolwiek zauważony, a poza tym słyszał kiedyś o jakimś tragicznym w skutkach wypadku, który komuś, dawno temu przytrafił się podczas lotu w dzień. Chyba miało to jakiś związek ze słońcem.

HASTA LA VISTA SZKODNIKI

Uwielbiam jeździć na wieś. Mogę wtedy pooddychać prawdziwym powietrzem i pić mleko bez konserwantów. Poza tym lubię porozmawiać od czasu do czasu z ludźmi, którzy nie zostali skażeni jeszcze wiedzą o takich zjawiskach jak Cholesterol, Internet czy Postmodernizm.

Tak rozmyślałem obserwując przesuwane się wolno za szybą widoki. Zatłoczony autobus PKS wspinał się mozolnie stromą serpentyną. Silnik ryczał przeraźliwie na najniższym biegu a my poruszaliśmy się do przodu z prędkością flegmatycznego żółwia. W pewnym momencie obawiałem się nawet, że za chwilę trzeba będzie wysiąść i pchać pod górę ten strupieszasty wehikuł. Po obu stronach drogi rósł gęsty olchowy las. Był wyjątkowo ciepły wrzesień. Drzewa powoli zmieniały swoją barwę, przechodząc z dojrzałej zieleni w żółć. Pomyślałem, że dzieje się zupełnie tak, jakby jesienią liście pozbywały się niebieskiego barwnika. Skoro kolor zielony powstaje w wyniku zmieszania żółtego z niebieskim, tutaj musi zachodzić jakby odwrotna reakcja: z zielonych liści znika gdzieś niebieski barwnik i dlatego liście żółkną. Pozostaje tylko pytanie: co dzieje się z niebieskim? Po chwili już wiedziałem. Niebieski ulatnia się do atmosfery, sprawiając przy okazji, że niebo jest takie błękitne.

Jelcz osiągnął wreszcie szczyt wzniesienia, radośnie szarpnął po czym zaczął pędzić coraz szybciej w dół, ku dolinie gdzie otoczona lasami znajdowała się wieś Szkodniki.

W Szkodnikach miał odbyć się ślub mojego kumpla - Zdechłaka. Telegram, który dostałem tydzień wcześniej był dość lakoniczny, co zresztą doskonale pasuje do stylu jego nadawcy: "ŻENIĘ SIĘ STOP JESTEŚ ŚWIADKIEM STOP PRZYJEŹDZAJ STOP".

* * *

Zdechłak był pierwszą osobą, jaką zauważyłem, kiedy autobus podskakując na kocich łbach wjechał na mały rynecek i płosząc stado gęsi zatrzymał się przed sklepem GS. Zdechłaka w ogóle trudno jest nie zauważyć. Swoją posturą mógłby wpędzić w kompleksy Arnolda Schwarzeneggera.

Wysiadłem. W przyciasnej marynarce, sztywnej koszuli i z krawatem, któremu ostatni raz pozwoliłem dusić szyję pięć lat temu na maturze, czułem się jak pajac. Spostrzegłem też, że bukiet w celofanie, który trzymałem w garści nie najlepiej zniósł podróż.

Przywitaliśmy się. Zapaliliśmy. - A więc naprawdę się żenisz? - spytałem.

- Myślałeś, że jaja sobie z ciebie robię? - pytaniem na pytanie odpowiedział Zdechłak. Wywnioskowałem, że jest w nie najlepszym humorze.

- Wyglądasz jak pieprzony yuppie, ale teściom się chyba spodobaś, - stwierdził, obejrzawszy mnie dokładnie - Taki już mają kiepski gust - westchnął - wynajęli nawet zespół disco polo.

- Powiedz wreszcie - ciekawość nie pozwoliła mi już dłużej czekać - z kim ty się właściwie żenisz i dlaczego tutaj, w takiej dziurze?

Zdechłak machnął niecierpliwie ręką - Może to i dziura, ale na łące rosną dobre

grzyby. Chodź, nie mamy czasu, po drodze wszystko ci wytłumaczę.

* * *

Wchodząc na obszerne podwórze gospodarstwa przyszłych teściów Zdechlaka, wiedziałem już prawie wszystko. Zdechlak poznał był na studiach laskę o nieco ekscentrycznym imieniu Marioletta. Zafascynowany jej świeżą urodą oraz beztróskim podejściem do życia szybko się w niej zakochał. Marioletta wyprowadziła się z akademika i zamieszkała w kawalerce Zdechlaka. Żyliby razem długo (a może krótko?) i szczęśliwie, gdyby nie obrzydliwie tradycyjny światopogląd rodziców Marioletty, którzy dowiedziawszy się o całej sprawie postawili biednemu Zdechlakowi ultimatum: albo się żenisz, albo wara ci od naszej córki. Niektórzy porównują miłość do mocnego wina. Jest w tym chyba sporo prawdy, ponieważ nie jestem w stanie uwierzyć, żeby mój kumpel, którego znam od piaskownicy mógł na trzeźwo ulec tak obrzydliwemu szantażowi. Doszło do tego, że wychowywany od małego przez świętej pamięci ciotkę Nadzieję w duchu całkowicie ateistycznym Zdechlak, aby móc wziąć ślub kościelny kupił za ciężkie pieniądze fałszywą metrykę chrztu. Nie zamierzał zapraszać nikogo ze znajomych, ale dowiedział się, że potrzebny mu będzie świadek. Byłem jego ostatnią deską ratunku.

* * *

Gospodarstwo przyszłych teściów Zdechlaka przedstawiało się imponująco. Wszystko już było zapięte na ostatni guzik: bramę wjazdową przystrojono kolorowymi wstążkami. Na samej górze widniał napis "WITAMY MŁODĄ PARĘ". Przed wielkim, dwupiętrowym domem ustawiono w podkowę stoły. Naprzeciwko wzniesiono podium dla muzyków. Zdziwiły mnie tylko wszechobecne, pstrokate, plastikowe krasnale. Krasnale uśmiechnięte i krasnale naburmuszone. Krasnale stojące i krasnale siedzące na pieńkach. Krasnale pracujące i krasnale leniuchujące. Krasnale dłubiące w nosie i krasnale pijące piwo. Było kilka krasnali siusiających i robiących kupę. Zauważyłem nawet jednego, który się onanizował. Mimo takiej różnorodności wszystkie skrzaty posiadały jedną wspólną cechę: bezgranicznie debilny wyraz twarzy.

- Teście robią interes na tych gniotach - wyjaśnił mi Zdechlak - wysyłają je do Reichu, tam rozchodzą się jak ciepłe bułeczki. Teraz wymyślili, że każdy z gości na weselu dostanie jednego takiego.

Powiedziałem, że najbardziej chciałbym dostać krasnała trzepiącego gruchę. Wtedy Zdechlak popatrzył na mnie w taki sposób, że postanowiłem więcej tematu krasnali nie poruszać.

Potem przyszła pora na przedstawienie mnie. Poznałem rodziców Marioletty, jej dwóch braci, ciotki, kuzynów, mnóstwo wujków i stryjenki. Była też sama Marioletta. Owszem, nawet niebrzydka, ale zupełnie nie w moim typie. Zbyt filigranowa, przy olbrzymim Zdechlaku wydawała się jeszcze bardziej drobna. Ja tam wolę dziewczuchy z krwi i kości.

W oko wpadła mi wysoka laska, na oko siedemnastka. Miała ładną buzię, a co ważniejsze - super nogi, zupełnie jak z reklamy lycry. Ucieszyłem się, kiedy Zdechlak poinformował mnie, że razem będziemy świadkami. Pomyślałem, że może uda się coś zadziałać.

Nie chce mi się dokładnie opisywać akcji poprzedzających sam ślub. Mam alergię na tego typu folklor. W każdym razie współczułem Zdechlakowi, kiedy klęcząc przed swoimi

przyszłymi teściami odbierał ich błogosławieństwo. Teściowie mieli łzy w oczach i nagle pojawiło się mnóstwo starych bab, które poczęły lamentować i zawodzić, zupełnie jakby wydarzyło się jakieś nieszczęście. Dopelnieniem okazały się ludowe przyśpiewki. Następnie wszyscy załadowali się w Mercedesy i pojechaliśmy do kościoła odległego od domu o jakieś trzysta metrów.

* * *

#

Wesele zaczęło się tradycyjnie, czyli lampką szampana. Państwo młodzi zatańczyli pierwszy waltz. Potem znowu toast, tym razem wódką. Jak zwykle po wizycie w kościele czułem pewien niesmak, który udało mi się splotkać dopiero drugim kieliszkiem "Weselnej". Wysoka czarna, jak zdążyłem się dowiedzieć - Ewa - siedziała z prawej strony. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Moim drugim sąsiadem był jeden z wujków, pięćdziesięcioletni facet, niejaki Stefan. Niezły wykręt. Przy pierwszej okazji nachylił się do mnie i powiedział:

- A ten jeden, psia jucha, cośmy go w chlewku zamkli, to nic, inoby buraki żarł.

- Kogo zamknęliście w chlewku, wieprzka? - Niezbyt mi zależało na podtrzymaniu tej konwersacji.

- Gdzie tam, panie, wieprzka! Zielonego! Z lasu przyłaził i buraki podżerał.

- Przestalibyście, wujek, głupoty ludziom opowiadać. - Ewa pogroziła Stefanowi palcem, po czym uśmiechnęła się do mnie i dodała - wujek Stefan miał wypadek na motorze, uderzył się w głowę i od tego czasu plecie trochę od rzeczy.

- Napijmy się jeszcze - zaproponowałem. Chłopaki z zespołu disco polo śpiewali o miłości. Zresztą ich repertuar ograniczał się tylko do piosenek o miłości. Teść Zdechłaka krążył z koszykiem pełnym butelek "Weselnej" i uzupełniał braki. Był ciepły wieczór, zabawa dopiero się rozkręcała.

Chwilę potem przytrafiła mi się dziwna przygoda. Poszedłem do toalety, która znajdowała się na parterze domu. Wchodząc do ogromnej, wyłożonej różowymi kafelkami łazienki zobaczyłem coś, co sprawiło, że ze zdziwienia opadła mi szczęka. Młodszy z braci Marioletty, Marian pochylał się nad umywalką i przez szklaną rurkę jak odkurzacz wciągał do nosa wysypaną na lustro długą kreskę białego proszku. Po cichu wycofałem się, zanim zdołał mnie zauważyć.

Kiedy wróciłem, Ewa tańczyła z drugim bratem Marioletty, Mietkiem. Nie wyglądała na zbyt szczęśliwą.

Wujek Stefan znowu przyczepił się do mnie - A te zielone, to trzech ich było. Po nocy z lasu wyłazili i na polu za stodołom buraki wygrzebywali.

Nieco mnie to zainteresowało. - Co to za zieloni, - spytałem - harcerze?

- Wpierw myśleliśmy, że to dziki, juchy, ziemniakami sie przejedli i tera buraki żreją. No to Kaźmierz, ociec Mariolki, znaczy, wzioł synów i poszli za stodołę. Czekali ze dwie godziny, wreszcie przyleźli. Małe takie i całe zielone. Niby jak ludzie, ale nie ludzie. I takie bardziej słabosilne, bo jak Marian jednego orczykiem pociągnął, to ino raz a tamten żywota wyzionął. Drugiego wzięli żywcem i do chlewka zamkli, a trzeci do lasu uciek i wiencej my go nie widzieli.

Ma chłop fantazję - pomyślałem sobie - słyszałem na wsi sporo historyjek wyssanych z palca, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Chociaż możliwe, że za dużo naogładał się

telewizji, "Archiwum X", albo coś w tym stylu.

- A wujek znowu swoje? - Nawet nie zauważyłem, jak wróciła Ewa. - Jak wujek będzie dalej takie brednie opowiadać, to wujka też w chlewku zamkniemy.

Ucieszyłem się, że wróciła. Postanowiłem przystąpić do dzieła. Szkoda byłoby, zmarnować tak piękny wieczór. - Poczekaj chwilę, zaraz wracam - powiedziałem. Poszedłem do chłopaków od disco - polo i zamówiłem "Białego misia".

* * *

Nie było jeszcze bardzo późno, ale pierwsi goście spadali już pod stoły. Chłopaki grali zamówionego przeze mnie "Białego misia". Tańczyliśmy. Rozmawiając o rzeczach banalnych czułem, jak nasze hormony buzują coraz silniej. Czysta fizjologia, chociażby dla takich chwil warto żyć. Jeśli jej dzisiaj nie przelecę, będę tego żałował do końca życia - pomyślałem. - Masz bardzo ładne oczy - powiedziałem. - Naprawdę? - ucieszyła się - tutaj chłopaki nie mówią dziewczynom takich rzeczy, tylko od razu by chcieli... Przytuliłem ją mocniej. Kątem oka zauważyłem, że Zdechlak kłóci się o coś ze swoją żoną.

Spytałem Ewę, czym się zajmuje. Powiedziała, że pracuje przy krasnalach. To znaczy maluje je i właściwie to ma już dość tej pracy. - Nigdy nie widziałem miejsca, gdzie się robi krasnale, pokażesz mi? - wcale nie chodziło mi tylko o to, żeby znaleźć się z nią w jakimś ustronnym miejscu. To znaczy owszem, jak najbardziej, ale te krasnale również mnie interesowały.

- No, nie wiem, jak ktoś się dowie...- Łamała się. W tym momencie nie wiedziałem już, czy chodzi jej o krasnale, czy też może o to, co niechybnie miało nastąpić. Możliwe, że wcale nie była taka głupiutka, za jaką ją wziąłem.

Po chwili zdecydowała się. - Chodź - pociągnęła mnie za rękę. Opuściliśmy jasno oświetlony plac i skierowaliśmy się w kierunku dużego budynku z nieotynkowanych pustaków. - Tutaj jest warsztat, gdzie robi się te paskudy - powiedziała. Weszliśmy jakimś bocznym wejściem. Znaleźliśmy się w przestronnej hali. W powietrzu unosił się zapach topionego plastiku. - Nie można teraz zapalać światła - szepnęła. Powoli oczy przyzwyczajały się do ciemności. Właściwie nie było tak ciemno. Dopiero teraz spostrzegłem, że jest pełnia. Wielki, idealnie okrągły księżyc świecił przez okno jak gigantyczny halogen. Rozejrzałem się. Ze wszystkich półek patrzyły na mnie setki krasnali. Wyglądały teraz inaczej, niż na trawniku przed domem. Jakoś tak groźnie, może przez cienie, które rzucały. Przyszło mi do głowy, że to wielka armia gnomów, czekająca tylko na sygnał, żeby nas zaatakować. Zmienił się też wyraz ich twarzy. Był teraz trochę złowieszczy, jednak w dalszym debilny. - Niech sobie patrzą, złowieszczo - debilne kurduple - pomyślałem. Przyciągnąłem dziewczynę do siebie. Nie opierała się. Zaczęliśmy się całować. Moja ręka delektowała się przez chwilę zgrabnym kształtem pośladków, a następnie wsunęła się między jej nogi. Nie miała nic przeciwko temu. - Potargasz mi rajtki - szepnęła tylko, ale bez przekonania. Warto było jednak przyjeżdżać - pomyślałem. Oparłem ją o półkę i rozpiąłem bluzkę. Byłem strasznie napalony. Ona zresztą też. Znowu zacząłem ją całować. W tym momencie poczułem, że coś wali mnie w głowę. Przez moment mnie zamroczyło. - O kurwa! - jęknąłem, łapiąc się za miejsce, w którym momentalnie zaczął rosnać guz. Spojrzałem na podłogę, gdzie teraz leżało to coś, co mnie walnęło. Był to jeden z krasnali. Stał widocznie na samej krawędzi i kiedy półka nieco zachybotła, spadł i pierdyknął mnie w łeb. Teraz leżał roztrzaskany na betonowej podłodze. - Dobrze ci tak skurwysynu! - Byłem wściekły.

- Trzeba go sprzątnąć, żeby nikt nie zauważył - powiedziała Ewa. Schyliłem się, żeby

go podnieść i wrzucić gdzieś w kąt. Wtedy właśnie zauważyłem, że z krasnala coś wypadło. Pakuneczek wielkości paczki papierosów.

- A to co znowu? - spytałem rozrywając palcami foliowy worek.

- Lepiej zostaw, mogą być z tego kłopoty - Ewa najwyraźniej czegoś się bała, ale ja poradziłem już sobie z opakowaniem. W paczuszce był biały proszek. Wysypałem trochę na palec. Przytknąłem do nosa i wciągnąłem. Zapiekło. Zaraz potem momentalnie rozjaśniło mi się w głowie. Amfetamina! Rozrzucone elementy puzzli powskakiwały na swoje miejsce. Stary robi interes na amfetaminie, którą przemyca w krasnalach do Niemiec. No to nieźle jaja! Przy okazji łatwo zgadnąć, skąd Marian bierze towar. Już otwierałem usta, żeby zapytać Ewę, czy orientuje się, co tu jest grane, kiedy po raz drugi tej nocy coś mnie rąbnęło. Tym razem z siłą nie jednego, ale chyba tysiąca krasnali.

* * *

Ocknąłem się. Łeb mi pękał. Chwilę trwało, zanim przypomniałem sobie, co się stało. Ktoś musiał pójść za nami do warsztatu - myśli przelatywały jak odrzutowce przez moją biedną, poobijaną głowę. Pewnie któryś z braci Marioletty. A może stary? W każdym razie władowałem się w niezły kanał. Ciekawe, co zamierzają ze mną zrobić? I gdzie ja właściwie jestem? Było ciemno. Leżałem na jakiejś śmierdzącej słomie. Wyciągnąłem przed siebie rękę i dotknąłem ściany. Masywne belki. Czyżbym znalazł się w chlewk, o którym wcześniej miałem już okazję słyszeć? Podniosłem się. Jakiś metr nad moją głową zauważyłem małe, zakratowane okienko. Na zewnątrz szarzało już. Może Zdechlak zauważy moją nieobecność? Chociaż nawet jeśli tak, - przyszło mi do głowy - to pomyśli sobie, że zaszyłem się gdzieś z Ewą i raczej nie będzie mnie szukał.

Swoją drogą, ciekawe, co się z nią stało? A może też jest w to zamieszana?

W kieszeni znalazłem pudełko zapalek. Były w nim tylko trzy zapalaki. Pierwsza się złamała. Drugą oświetliłem na chwilę pomieszczenie. Mała klitka dwa na trzy metry. Solidne drzwi. Na podłodze, oprócz słomy dużo porzrzuconych, na wpół zgniłych buraków. W kącie natomiast... Zanim zapalaka zgasła, zdążyłem tylko stwierdzić, że nie byłem sam. W kącie siedziała jakaś skulona postać. Niewielka, jakby dziecko. - Barbarzyńcy! - pomyślałem. Słyszałem już kiedyś o zwyrodniałej rodzinie, która przez kilka lat trzymała dziecko w komórce.

- Nie bój się - powiedziałem cicho - nie zrobię ci krzywdy. Podeszedłem i kucnąłem obok. Zapaliłem ostatnią zapalaka. I o mało jej nie upuściłem. Twarz, którą zobaczyłem, nie była twarzą dziecka. Nie była w ogóle twarzą ludzką! Bładozielona skóra, naciągnięta na bezwłosą czaszkę. Mały, zadarty nosek i zmrużone od światła, skośne oczy nadawały tej fizjonomii jakby azjatyckie rysy. Więcej szczegółów nie zdołałem zanotować, bo ostatnia zapalaka zgasła. - Ale odjazd! - pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. - To chyba jednak nie była amfetamina. Z tego, co wiem, po amfie nie ma halucynacji, a ja najwyraźniej je miałem. Nie dość, że zamknięto mnie w chlewk, to w moim mózgu szaleje jakaś nieznana substancja.

Wtedy od strony drzwi usłyszałem przytłumione głosy. Coś trzasnęło i drzwi uchyliły się. - Żyjesz? - usłyszałem. W progu stała Ewa z wujkiem Stefanem.

- A to cie, bidoka, w chlewk, jak jakiego prośka zamkli - zachichotał wujek.

- Wszyscy popili się i śpią jak zabici - powiedziała Ewa. Dopiero teraz zauważyłem wielkiego siniaka pod jej okiem. - Wychodzisz, czy też wolisz zostać?

Kiedy tak staliśmy, w chlewk nagle coś zaszeleściło, zerwało się i roztrącając nas na

boki wyleciało na zewnątrz, momentalnie ginąc w porannej mgle.

- Ot, zielony uciek - stwierdził wujek Stefan - wam też trza uciekać.

- Nie tak zaraz - powiedziała Ewa - coś jeszcze musimy załatwić.

* * *

Znajdowaliśmy się w domu teściów Zdechlaka, w tym samym pokoju, w którym Zdechlak odbierał błogosławieństwo. Ewa podeszła do ściany, na której wisiały obrazy przedstawiające Matkę Boską i Jezusa z Gorejącym Sercem. Zdjęła Jezusa. Otwarcie sejfu znajdującego się pod spodem zajęło jej kilkadziesiąt sekund. W środku, równo poukładane, leżały grube pęczki banknotów. - Należy mi się, zawsze zalegali z wypłatą - stwierdziła ładując zawartość sejfu do reklamówki - poza tym mają tego tyle, że już nie wiedzą, co z tym robić.

- Zaraz, zaraz, te pieniądze pochodzą z handlu narkotykami i jako takie podlegają konfiskacie na rzecz skarbu państwa - odezwał się milczący do tej pory wujek Stefan.

- Wujek? No co wy, przecież...- Ewa była zaskoczona chyba jeszcze bardziej niż ja.

- Od tej pory nie wujek Stefan, ale kapitan Ryś z Urzędu Ochrony Państwa - przedstawił się kapitan Ryś (do tej pory opisywany przeze mnie jako wujek Stefan).

- Stefan, ty świnió, od dawna cię podejrzewałem, psiajucho popaprańcu! - W drzwiach stanął teść Zdechlaka dzierżąc w dłoni obrzynka tylko o jeden kaliber mniejszego od armaty. Zza jego pleców wyglądali obaj synowie - Mietek i Marian.

- Nic mi nie możesz zrobić, wysłałem meldunek do centrali - powiedział kapitan Ryś.

- Nie ze mną takie numery, Stefan! - Zatriumfował stary - naczelnik poczty to mój szwagier, wszystkie twoje donosy trafiły do kosza. A teraz pod ścianę! - Machnął obrzynkiem. - Tak mi wesele córki popsuć!

- Ojciec, to co z nimi zrobimy? - zapytał Marian - Może w łeb i do wapna, jak tego tam, co to go za stodołą...

- Tylko Ewkę zostawić, bo jeszcze się nada - dodał Mietek, oblizując obleśnie wargi.

- Co tu się właściwie dzieje? - Tym razem w drzwiach pojawił się Zdechlak.

- A ty synek, czego? - Teść odwrócił się - Nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Lepiej wracaj na górę do Mariolki, tam teraz twoje miejsce.

- A ja wam ojciec właśnie chciałem powiedzieć - widziałem po Zdechlaku, że jest zdeterminowany - że pierdzielę cały ten interes i waszą Mariolkę też. Ledwo się z nią ożeniłem, a już wyszła z niej taka zołza, jakiej jeszcze nie znałem. A świętej pamięci ciocia Nadzieja zawsze mówiła: "Nie żeń się nigdy chłopcze, bo małżeństwo to grób miłości". Więc wyjeżdżam, a Mariolkę sobie zatrzymajcie.

- Nie możesz! - teść zarechotał - napisane jest: "Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza".

- Właśnie, że może - odezwał się - Przecież jego metryka chrztu - pokazałem na Zdechlaka - jest fałszywa. Więc cały ten ślub jest nieważny.

W tym momencie stary miał wyraz twarzy dokładnie taki sam, jak wszystkie jego krasnale.

To, co rozegrało się chwilę potem, trwało chyba niecałą sekundę. Korzystając z nieuwagi teścia kapitan Ryś błyskawicznym ruchem wydobył zza pazuchy wielki rewolwer.

Nie wiem, kto pierwszy strzelił, bo momentalnie oboje z Ewą zanurkowaliśmy pod stół. Zdechlak również tam się znalazł. Nad nami zagrzmiało niemal jednocześnie kilka strzałów. Zaraz potem łomot padających ciał. I cisza. Po chwili ktoś jęknął.

Wyjrzałem ostrożnie. Pod jedną, zachlapaną teraz od krwi ścianą leżał teść Zdechlaka i jego dwaj synowie. Ich stan wskazywał na to, że kapitan Ryś nie marnował czasu na UOP - owskiej strzelnicy. On sam leżał pod przeciwległą ścianą. Oddychał jeszcze, ale również nie wyglądał najlepiej. Na jego białej koszuli rosła wielka czerwona plama. Znowu jęknął. Uklęknęłam przy nim. Próbowałam coś powiedzieć. Nachyliłam się.

- Ze mną koniec... Przekaż centrali... Gang Hałabały rozбитo...Mój motor w stodole pod sianem... Uciekajcie... - Z ust poszła mu krew. I tyle.

* * *

Znajdowaliśmy się już w pewnej odległości od wsi, pędząc na motocyklu wujka Stefana vel kapitana Rysia. Wyciągnięty spod siana motor okazał się być starym BMW "Sahara" z bocznym wózkiem. Moim zdaniem, kompletny odlot. Upajałam się teraz mocą tej wspaniałej maszyny. Na tylnym siodełku siedziała Ewa i przekrzykując ryk silnika próbowała mi powiedzieć, żebym odpuścił trochę z gazu. Zdechlak ulokował się w przyczepce, trzymając w objęciach dużego, onanizującego się krasnala. - To dla ciebie, przecież chciałeś - wyjaśnił mi, kiedy wyprowadzałam motor ze stodoły. - Ciekawe, czy Ewa zabrała reklamówkę z forszą? - przeszło mi przez głowę. Byłem zbyt zmęczony, żeby się teraz tym przejmować.

Na przełęczy zatrzymałam chwilę motocykl, żeby ostatni raz spojrzeć na leżące w dolinie Szkodniki. Oświetlane pierwszymi promieniami słońca wyglądały cicho i spokojnie. Wręcz niewinnie. Wtedy zobaczyliśmy niezidentyfikowany obiekt latający, który pojawił się nad lasem. Nic już nie mogło mnie zdziwić. Obiekt wolno nadleciał w kierunku wsi, okrążył wieżę kościoła, a następnie uniósł się pionowo w górę. Kiedy znajdował się jakieś dwieście metrów nad zabudowaniami, na jego spodzie coś błysnęło i wieś znikła. Po prostu przestała istnieć, jak gdyby jej nigdy nie było.

- Hasta la vista, Szkodniki - powiedział Zdechlak, po czym pomknęliśmy serpentyną w dół, na złamanie karku.

SZEWSKI PONIEDZIAŁEK

Poniedziałek, 21 kwietnia. Iggy Pop kończy 50 lat. Korea Północna, w której podobno zdarzają się przypadki kanibalizmu spowodowane głodem zafundowała sobie bombę atomową. Peruwiańscy komandosi skończyli drążyć tunel pod rezydencją japońskiego ambasadora. Jutro, we wtorek zaatakują i wykończą wszystkich z Tupac Amaru. Poranny serwis informacyjny zdążyłem przegryźć dwoma bananami i już muszę lecieć do roboty.

Chwilę później, kiedy na Szewskiej spotykam Pinia a on pyta co słychać, „do roboty idę, a poza tym nic, kurna, ciekawego” mówię, bo faktycznie, nic ciekawego.

Pinio ma za to, jak zawsze, najnowsze sensacje. - Słyszałeś że Abadon się przekręcił? A Strażak? Po powrocie z Mongolii nieźle mu odbiło. Przeszawił się na jakąś chorą dietę, która polega na tym, żeby wpięprzać same tłuszcze. Jajecznicę smaży na mózdzku z wątróbką, a zamiast soku pije topiony smalec. No mówię ci, obrzydliwość - Pinio jak zacznie nawijać, to trudno mu przerwać. - A o tej aferze z małpami słyszałeś? Podobno...

W tym momencie pojawia się Beefhart i szarpiąc swoją wyleniałą brodę zaczyna krążyć jak satelita wokół nas z tą nawiedzoną gadką "widziałem przed chwilą Jezusa, wyglądał jak Czesław Niemen", więc Pinio mówi "to zajebicie, ale niemencz od samego rana, Beefhart" i żegnamy się. Idziemy, każdy w swoją stronę. Beefhart na szczęście podąża za Piniem, ale odwraca się jeszcze i wrzeszczy za mną: "Strzeż się klonowanej małpy".

Idę dalej i zastanawiam się, jakim prawem wiem już teraz, że nastąpi atak na japońską ambasadę? Przecież to będzie dopiero jutro, 22 kwietnia. Na razie żołnierze siedzą w tunelu i z palcami na spustach automatów czekają na rozkaz, a bojownicy Tupac Amaru kopią spokojnie piłkę i grają na gitarze podarowanej im przez biskupa. Nie wiedzą, bo skąd mają wiedzieć, że służby specjalne zamontowały w gitarze miniaturowy nadajnik. Współczesny Koń Trojański. A może Gitara Limańska? Co za różnica, wszystko się powtarza.

Na Rynku, przy wejściu do metra opatuleni w kolorowe chusty rezerwiści ryczą "Kiedy rezerwa". To znaczy czterech z nich, bo pozostali dwaj próbują ich przeryczeć z "Jak żem, kurwa, szoł na wojne". Po chwili się godzą i razem zaczynają robić pompki. "I raz, za jednostkę, i dwa za regiment, i trzy za miłościwie nam panującego cesarza Franciszka Józefa..." Posłuchałbym, co dalej ale śpieszę się do roboty. Zbiegam unieruchomionymi przez jakąś awarię ruchomymi schodami. Przyjemny, ciepły podmuch owiewa mnie, kiedy wbiegam na peron, akurat, żeby zobaczyć zatraskujące się drzwi kolejki. Gdybym nie gadał z Piniem, to bym zdążył. Łomot odjeżdżających wagoników oddala się i słyszę, że ktoś gra na skrzypcach. Koło automatu z Coca - Colą siedzi w swoim fotelu inwalidzkim cygan Stefan i ciągnąc leniwie smyczkiem po strunach wydobywa z nich jakąś smutną melodię. Stefan ma jak zwykle przymknięte oczy, a papieros w jego ustach dymi od niechcenia. Dym zmieszany z dźwiękiem skrzypiec tańczy po pustym peronie, odbija się od pokrytych kolorową mozaiką ścian, wreszcie znika w ciemnym wylocie tunelu. „Póki Stefan gra na skrzypcach, póty będę miał nadzieję” - przypomina mi się kawałek Maleńczuka. Wtedy pojawia się małpa. Nie wiem skąd, bo zauważam ją dopiero, kiedy się do mnie odzywa. Nie znam się na małpach, ale mogę stwierdzić, że ta jest wyjątkowo

duża i owłosiona. Nie zwracając uwagi na moje osłupienie powtarza pytanie.

- Nie widział pan mojego męża? Uciekł z klatki. Wcześniej mnie pobił i zwyzywał od najgorszych.

- Pani męża? A jak on wygląda?

- Co za cham! - parska urażona nie wiadomo czym małpa. Odwraca się niezgrabnie i odchodzi w kierunku wyjścia, mamrocząc coś pod nosem.

Zostajemy znowu sami. Ja i Stefan, który nie przestaje grać. Sami? Teraz widzę, że niezupełnie. - "Pisząc Parkerem nie będziesz zerem" - z wielkiego plakatu reklamowego przyjaźnie mruga do mnie Wisława Szymborska.

- "Spoko facet, daj se luz i idź na maxa, będzie super - cool i totalny odlot" - pedziowaty koleżka reklamujący Pepsi drapie się po jajach a następnie zaczyna dłużyć w nosie.

- "Ja zrobiłem trzysta procent normy. A ty?" - odziany w szary drelich robotnik wyciąga oskarżycielsko w moją stronę sękaty paluch. To przypomina mi, że jestem już porządnie spóźniony do roboty. Szef będzie wściekły i nie wiem, czy uda mi się zwalić całą winę na niepunktualność krakowskiego metra.

Wreszcie nadjeżdża. Wsiadam do ostatniego wagonu. I od razu znajoma postać. Grzesio. Kiedyś byliśmy kumplami. Kiedyś, bo potem Grzesio się zakochał. Miłość zmieniła Grzesia nie do poznania, wysysając z niego całe życie. Namiętność spowodowała, że schudł i zmizerniał. Całkowicie zaniedbał swój wygląd, za to zaczął, nawet w największe upały, nosić koszule z długimi rękawami.

Grzesio stoi i z całych sił trzyma się poręczy. Szara twarz mokra od potu. Puste, szklane oczy patrzą gdzieś obok, na drzwi, na sufit, tylko nie na mnie.

- Myślałem, że w końcu ją rzuciłeś - mówię do niego.

- Zrozum, to prawdziwa miłość - blady uśmiech odsłania brązowe, zniszczone zęby - tylko ona, żadnej innej nie chcę - mówi i poprawia coś, co trzyma pod płaszczem. - Teraz muszę dla niej załatwić jedną sprawę. Chcesz, to chodź ze mną, coś zobaczysz.

Przez chwilę się zastanawiam. Niby śpieszę się do roboty, ale... Myślę o czekających na mnie oparach butaprenu, niszczących codziennie sporą ilość moich szarych komórek... srał pies robotę. Powiem jutro, że świętowałem urodziny Iggy'ego.

Wysiadamy na stacji Szeroka. Grzesio pierwszy, ja za nim, ruchomymi schodami na powierzchnię, potem obok starej bożnicy i wsiąkamy w ponure uliczki Kazimierza. Szybko tracę orientację, ale Grzesio doskonale zna drogę. Próbuję coś zagadać, ale on jest jakby nieobecny, cały czas milczy i tylko co pewien czas poprawia ten przedmiot pod płaszczem.

- Wiesz, w tym mieście trudno jest żyć - mówi nagle, ni w pięć, ni w dziewięć, kiedy wreszcie skręcamy w jedną z bram. Stamtąd na podwórze i zaraz w prawo, w ciemną i nieprzyjazną klatkę schodową. Śmierdzi kocia szczyzna. Stare, drewniane schody skrzypią, kiedy mijamy pierwsze piętro, potem drugie. Tam jakiś remont. Przez otwarte drzwi widać pracujących malarzy, ci jednak nas nie zauważają, zajęci rozlewaniem kolejki. - Gawariu тебе Mitka: Sonia Siemionowna eto nastojaszczja bladź, wsie iejo trachali - słyszę strzępek rozmowy.

I kiedy wchodzimy tak aż na czwarte, Grzesio pierwszy, ja za nim, nagle mam wrażenie albo raczej wspomnienie, kiedyś, dawno temu już raz szedłem za kimś (z kimś?) po takich schodach, obok mieszkania z malarzami, aż na czwarte piętro, a tam...

- Kurwa, w tym mieście naprawdę trudno jest żyć - powtarza Grześ, kiedy stajemy pod drzwiami z nieczytelną wizytówką. Ociera pot z twarzy a potem znowu poprawia to coś pod płaszczem. Nasłuchuje przez chwilę, wreszcie powoli wyciąga rękę w kierunku dzwonka. Drażniący, zgrzytliwy dźwięk jest mi doskonale znany i powoduje, że nagle przypominam sobie, już wiem, co zdarzy się za chwilę. Dokładnie umiałbym opisać staruchę, która zaraz stanie po drugiej stronie i z uchem przytkniętym do drzwi zacznie uważnie nasłuchiwać.

Z przeraźliwą precyzją mógłbym opowiedzieć, co stanie się, kiedy stara zdecyduje się wreszcie otworzyć, po drugim lub trzecim dzwonku. Wiem już doskonale, co to za przedmiot trzyma Grzesio pod płaszczem, na specjalnej pętelce, którą wszył kilka dni wcześniej, specjalnie po to, żeby mieć obie ręce wolne, kiedy wreszcie wejdzie do mieszkania i nie wiem tylko, czy umiałbym opisać odgłos, jaki rozlegnie się, kiedy przedmiot ten, trzymany oburącz w spoconych dłoniach spadnie wreszcie obuchem na głowę kobiety. Podobno dla potrzeb filmowych odgłos ten imituje się rozbijając żelaznym prętem dojrzałe arbuzy. Nie chcę słuchać tego dźwięku.

- Muszę iść - mówię nagle, udając, że patrzę na zegarek - naprawdę strasznie się śpieszę. Odwracam się i w panice zbiegam w dół, po dwa, po trzy stopnie, obok mieszkania gdzie pracują malarze, przez podwórko, przez ciemną bramę, na ulicę, a potem przed siebie. Biegnę środkiem ulicy, rozchlapuję kałuże, kogoś potrącam, jakiś samochód na mnie trąbi, ale ja myślę tylko o tym, żeby się znaleźć jak najdalej od całej tej porąbanej historii.

Zatrzymuję się dopiero nad Wisłą, przy moście Piłsudskiego. Myślę, że jestem już wystarczająco daleko. Brakuje mi tchu a serce wali jak zbyt nakręcony zegarek. Rozglądam się dookoła. Przenikliwy ziąb i mżawka musiały skutecznie odstraszyć wszystkich spacerowiczów, bo w zasięgu wzroku nie widzę żywej duszy. Starając się uspokoić siadam na mokrej ławce i patrzę bezmyślnie na rzekę, potem na niebo.

Niebo jest wściekle ponad tym miastem

Ptaki jak diabły ponad tym miastem¹

Potem obserwuję, jak wiatr bawi się przez chwilę plastikową butelką. W końcu nudzi się nią i próbuje porwać sporą płachtę czarnej folii, okrywającą podłużny kształt na brzegu i kiedy mu się wreszcie udaje, dostrzegam to, o czym właściwie już wcześniej wiedziałem, że tam jest.

Do tej pory tylko raz w życiu widziałem wyłowionego topielca. Jednak tamten nie był tak konkretny. Może dlatego, że leżąc na rozgrzanym słońcem piasku w Kryspinowie, ubrany w kolorowe, zielono - pomarańczowe kąpielówki, wyglądał na zwykłego plażowicza, który nie wiadomo z jakiej przyczyny został otoczony nagle tłumkiem gapiów. A może dlatego, że był świeży, jego ciało nie zdążyło tak napęcznieć, a skóra nie nabrała specyficznego, ślisko - szarego odcienia. Nie śmierdział też rybą, szlamem i jeszcze tym czymś, co teraz czuję, kiedy wbrew swej woli podchodzę bliżej. Zaglądam topielcowi w twarz.

Puste, szklane oczy patrzą prosto na mnie.

- Synu, nie masz ognia? - aż podskakuję, słysząc zachrypnięty głos. Odwracam się i

¹ Iggy Pop

widzę jednego z tych ludzi w nieokreślonym wieku, których można spotkać codziennie na Plantach, polujących na niedopałki, grzebiących w koszu na śmieci albo śpiących na ławce, z reklamówką mieszczącą cały ich dobytek pod głową. Nie czeka aż sprawdzę a potem przecząco pokręcę głową, tylko klęka przy topielcu. - Znałem kiedyś gościa - stwierdza obojętnie, po czym zaczyna przeszukiwać jego kieszenie.

- Co pan robi?!

- Wyluzuj, synek, jemu i tak po nic, a inni mogą mieć jeszcze pożytek - kloszard triumfalnie pokazuje mi masywną, srebrną zapalniczkę, którą właśnie wyciągnął z zanadru marynarki topielca. - Zippo, porządna marka - mruczy do siebie zadowolony, kiedy udaje mu się wykrzesać płomień - miałem kiedyś taką. Zimno dzisiaj - przypomina sobie o mnie - na taką pogodę trzeba coś napić. Chcesz, to chodź. Znowu nie czeka na moją odpowiedź, tylko kieruje się w stronę stalowych drzwi, wbudowanych w kamienną ścianę nadbrzeża. Faktycznie zimno. Idę więc za nim i już przeczuwam, że za chwilę, grzejąc się przy ognisku z gazet i pijąc tanie wino usłyszę historię jego życia.

HISTORIA KLOSZARDA MAŃKA

Zwykłym człowiekiem kiedyś byłem, choć teraz ciężko uwierzyć. Do kościoła co niedziela chodziłem a do polityki się nie mieszałem, bo po co? Żonę miałem i dzieci. Córkę i syna. Spokojnie i wygodnie sobie żyłem. W domu wszystko, co normalnemu człowiekowi do szczęścia potrzebne, było. Kolorowy telewizor i video. Kabłówkę nawet założyli. Meble nowe wzięłem na raty. I flizy włoskie w łazience położyłem. Syn we wojsku, na przepustki przyjeżdżał, służbę sobie chwalił. Córka wyszła za jednego takiego, co dojrzewalnię bananów miał. Ja w zoo pracowałem. Zwierzaki karmiłem. Słonia, foki, krokodyle. No i te cholerne małpy. - Kloszard przerywa, ciągnie wino z gwinta. - Teraz, jak się dobrze zastanowię, to tak myślę, że te małpy od początku mi nie pasowały. Przedrzeźniały człowieka i srały gdzie popadnie. Klatki co tydzień im czyściłem, to wiem. Parszywa robota - przypomniawszy sobie spluwa z obrzydzeniem. - A dyrektor zoo właśnie o te małpy najbardziej kazał dbać, zwłaszcza o jedną taką, Ewitę. „Ewunia przejdzie do historii” - mawiał. - „Tak, jak ta owca, Dolly, albo nawet jeszcze bardziej.” I banany dla Ewity specjalnie przynosił, wyjątkowo duże i ładne, że nawet w dojrzewalni zięcia takich nie było. A ja tej Ewity nie znosiłem, zwłaszcza od czasu, kiedy mi zapalniczkę, franca, z kieszeni ukradła. Więc czasem, kiedy dyrektor te banany przynosił, to zamiast jej dać, do domu brałem, dla żony, bo żona te banany lubiła.

A potem przyszła ta straszna niedziela. Budzę ja się rano. Żona śpi obok. Zerkam na nią i o mało zawału nie dostaję, bo widzę, że to nie żona, tylko małpa jakaś. Trochę nawet do żony podobna, wałki sobie w kudły, zupełnie jak żona powkręcała, tak, że przez chwilę sam nie wiedziałem. Ale patrzę na zdjęcie ślubne, co nad łóżkiem zawsze wisi. Tam - młoda dziewczyna, ładna, zgrabna, uśmiechnięta. A tu - małpiszon obcy, w dodatku paskudny. Szczeciną porośnięty, spasiony i na pysku wredny. I zapach od niej też taki, jak od małpy. Chrapie toto potwornie i przez sen się do mnie wyszczerza.

Jak nie wrzasnę, jak się z łóżka nie zerwę, a małpa też się budzi i do mnie: "co się stało, Marian?". No to ja z całej siły plask w ten małpi pysk. "Spierdalaj do zoo, tam twoje miejsce, wstrętny kockodanie" - krzyczę i w nogi. Byle dalej. Po Lasku Wolskim przez trzy dni się błąkałem, zanim mnie znaleźli. - "Żonę mi porwali, a zamiast niej małpę podrzucili" - tłumaczyłem policjantom. A oni w śmiech. Więc pomyślałem, że pewnie są w zмовie. I przy pierwszej okazji uciekłem. Od tego czasu się ukrywam. Czasami myślę, że to jakaś prowokacja była, albo polityczna sprawa.

- Ja tam nie wiem, - mówię i pociągam łyka. - Prosty chłopak jestem, u szewca robię.

- U szewca? To dobrze, może coś poradzisz, buty mi się zupełnie rozkleiły, - słyszę nagle od strony drzwi jakiś gulgotliwy, zardzewiały głos - papierosy całkiem zamokły i w dodatku ktoś mi rąbnął zapalniczkę.

Oglądam się i wymiękam. W drzwiach stoi topielec i oburącz przytrzymuje sobie napuchnięte brzuch. - Od kiedy spieprzyłem doświadczenie z małpami, nic mi nie idzie - wzdycha płaczliwie, z głośnym chlupotem zbliżając się do nas. - I wiesz, co mi się wydaje? - zwraca się nagle do mnie. - Myślę, że to wszystko twoja wina. Ty mnie wymyśliłeś i gdyby nie ty, byłbym kimś zupełnie innym, albo wcale by mnie nie było! - Topielec krzyczy, nagle krztusi się i zaczyna pluć wodą. Lodowata woda wylewa się z niego, tryska jak z fontanny, coraz bardziej i bardziej, wypełnia pomieszczenie. Stoimy w niej już po kostki, już po kolana, ale nie mamy dokąd uciekać, bo topieluch zaczopował swoim cielskiem drzwi, odcinając nam tym samym jedyną drogę ucieczki. Wody nie przestaje przybywać, sięga nam po szyje, za chwilę trzeba już stanąć na palcach, żeby złapać łyk powietrza, którego jest coraz mniej. Czuję, że się duszę...

A niech to! Znowu zasnę. Ostatnio szef zapowiedział, że jak jeszcze raz się spóźnię, to wylatuję z roboty. Nie będę jadł śniadania, może jeszcze zdążę. Tylko muszę ominąć Szewską, mógłbym tam spotkać Pinię, a jak jeszcze pojawi się Beefhart...

Flashback

Przedmieścia. Za mostem autobus komunikacji miejskiej musi zwolnić. Asfalt ulicy staje się poharatany, spękany i spierzchnięty jak dłonie ludzi pracujących w zakładach przemysłowych, fabrykach i warsztatach, które teraz przesuwiają się za szybami. Las kominów wypluwa szare obłoki, zasnuwa nimi niebo aż po horyzont, wzbogaca atmosferę o setki ton pyłów zawieszonych, rakotwórcze tlenki siarki i ołowiu oraz inne niebezpieczne związki.

Wysiadam na ostatnim przystanku przed zajezdnią i od razu zapalam papierosa. Muszę przy tym osłonić zapalniczkę dłonią, zerwał się zimny wiatr. Dopiero potem rozglądam się dookoła. Co ja robię na tym zadupiu?

Puszczam wodze fantazji: jestem tutaj z powodu niewielkiej czarnej walizeczki, którą splot przedziwnych przypadków wepchnął w moje ręce. Zamierzam zamienić ją na gruby plik zielonych banknotów mając świadomość, że jej zawartość kosztowała, jak dotąd, życie co najmniej trzech osób.

Cienka jak włos igła niczym żądło rozjuszonego owada bezlitośnie przebiła błyszczącą nylonową siateczkę opinającą nogi jadącej windą pięknej kobiety. Z żądła wysączyło się zaledwie kilka kropel trucizny tak jednak silnej, że pokryte czerwoną szminką usta wydały ostatnie tchnienie, nim winda zdążyła osiągnąć kres swej podróży.

Ekspresowa seria pocisków z pistoletu maszynowego posłana przez zamaskowanego, ubranego na czarno motocyklistę bezbłędnie zaadresowana trafia do czytającego na tarasie kawiarni poranną gazetę mężczyzny. Lekko dymiące złote łuski po wystrzelonych pociskach padając na chodnik układają się w skomplikowany szyfr, który daremnie próbowali będą złamać eksperci z laboratorium kryminalistyki.

Dwie dwudziestokilogramowe hantle obciążające nigdy nie zidentyfikowane zwłoki odkryte dopiero za kilkanaście miesięcy, w trakcie osuszania położonych za miastem bagien stanowiąc będą poszlaki, które zawiodą prowadzącego śledztwo, obdarzonego „dobrym nosem”, choć balansującego częstokroć na krawędzi prawa inspektora do popularnej siłowni kulturystycznej, lecz tam ślad się urwie. W nozdrzach inspektora pozostanie tylko amoniakalna woń sterydoanabolicznego potu.

Mam w głowie sto czterdzieści pięć pomysłów na powieść, tylko co z tego? Szary, pochmurny świt nie zapowiada słonecznego dnia, zresztą tak lepiej. Słoneczna pogoda zepsułaby nastrój. Wydarzenia, które mają rozegrać się za chwilę wymagają takiej właśnie scenografii: wyludniony przemysłowy krajobraz, nijaka, pochmurna aura i zimny wiatr smagający głównego bohatera, czyli mnie.

W umówionym miejscu, na pustym placu między wielkimi magazynami już na mnie czekają. Automatycznie opuszczana szyba mercedesa bezszmerowo uchyli się i przez sekundę błysnie złoty Rolex, kiedy niecierpliwa dłoń człowieka kryjącego twarz w ciemnym wnętrzu auta wyciągnie się, by odebrać drogocenną walizeczkę.

Potem, zamiast oczekiwanego pliku zielonych banknotów pojawi się gan z czarno oksydowaną, zakończoną tłumikiem lufą (*konieczne zbliżenie na zaskoczoną twarz*

głównego bohatera) i rozlegnie się ciche pstryknięcie, mniej więcej takie, jak przy wyzwaniu migawki aparatu fotograficznego, choć równie dobrze może nie być tłumika i wtedy zamiast cichego pstryknięcia usłyszymy rasowy filmowy wystrzał (*dużo basów, lekki pogłos*). Już w następnym momencie główny bohater rozrzucając szeroko ramiona poleci w zwolnionym tempie do tyłu a na jego piersi wykwitnie efektowna plama. Tak rozegrałby to Scorsese albo Tarantino, myślę.

Niedopałek z sykiem kończy w ozdobionej tęczową plamą ropy kałuży, a ja na razie wciąż jeszcze żywy idę wzdłuż ogrodzenia Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych. Zza siatki obcinają na mnie okrągłymi ślepiami przyczajone nieruchomo żółte koparki, ubłocone wywrotki, ociążałe, niezgrabne fadromy i wyszczerzone spychacze. Maszyny. Pewnego słonecznego dnia zbuntują się i wykopią nas, ludzi z tej planety, a następnie zrównają z ziemią wszystkie budowle, drogi, fabryki, mosty, lotniska - cokolwiek, co mogło by świadczyć o naszej obecności tutaj. To ich tajna misja. Dopiero potem obrócą się w rdzę. Nie wolno lekceważyć maszyn, nie wolno im ufać myślę dziesięć minut później, zaczynając jak co dzień robotę przy ciężkiej prasie hydraulicznej. Masywne ramię prasy z głośnym mmmmm - plask opada, z siłą 25 ton przygniata stalowy wykrojnik, ułożony chwilę wcześniej przeze mnie na gładkim płacie skóry. Muszę być teraz maksymalnie skupiony. Prasa hydrauliczna to straszna franca. Czeka na chwilę nieuwagi, aby z triumfalnym mmmmm - plask zmienić moją rękę w mielony kotlet. Dzisiaj po południu mam rendez vous z naprawdę wyjątkową laską i mam nadzieję, że przydadzą mi się obydwie ręce.

Dziesięć godzin później czekam na ławce koło skarbonki pod Ratuszem. Nerwowo skubię sztywną, grubą łodygę róży. Obrywam po kolei kolce „przyjdzie - nie przyjdzie - przyjdzie - nie przyjdzie”, aż ostatni z kolców decyduje „przyjdzie”, po czym kłuje mnie w palec i właśnie wtedy dostrzegam ją, jak idzie przez rynek nieprawdopodobnie piękna, zmysłowo kołysząc biodrami i emanując taką kobiecością, że faceci oglądają się za nią, jakby była niezemskim zjawiskiem. Staram się zapamiętać ten obrazek jak najdokładniej, (*jeśli chodzi o tło muzyczne, najlepszy byłby „This Magic Moment” Lou Reed’a*) łapczywie chłonąc każdy szczegół.

...no i mówię ci, kiedy zobaczyłam go tam, jak siedzi na ławce, obskubuje tę nieszczęsną różę i rozgląda się dookoła, z wyglądu taki jeszcze chłopak, nie facet, rozumiesz, co mam na myśli, całkiem nie mój typ, w dodatku ta mina IQ minus siedem, więc pomyślałam Boże, znowu jakaś pomyłka, po co ja się w ogóle z nim umawiałam. Zastanawiałam się, czy w ogóle do niego podejść, ale już mnie zauważył i nagle się rozpromienił, zupełnie jak mój Sproket, kiedy dostaje tuńczyka i zrobiło mi się tak jakoś miło, bo to przecież miłe, kiedy ktoś tak się cieszy na twój widok. Pomyślałam, że może jednak warto spróbować. I wiesz co? Było naprawdę super. Rozumiesz, co mam na myśli. Zaprosił mnie na pizzę, wiesz, jak uwielbiam pizzę, i cały czas gadaliśmy. Okazało się, że lubimy te same filmy i słuchamy tej samej muzyki. Czym się zajmuje? Nie wiem dokładnie, ale chyba coś z dziennikarstwem, bo powiedział, że ma dużo roboty z prasą. Opowiadał mi, że pisze jakiś scenariusz do filmu sensacyjnego albo coś w tym stylu, a kiedy dowiedział się, że mam zajoba na punkcie kotów, obiecał, że pokaże mi najbardziej zwariowanego kota na świecie. I nie uwierzysz, co się potem stało...

Mieszkanie mojego kumpla Jacka znajduje się w centrum, dwa kroki od rynku. Jacek

wyjechał do Amsterdamu. Zostawił mi klucz i instrukcję, jak pielęgnować trzy dorodne zielone krzewy rosnące beztrudnie na balkonie. Muszę też dbać, żeby kot Cannabis (w skrócie - Bis) nie zjadł ich z głodu. Ten nieobliczalny zwierzak stał się, jak widać, świetnym pretekstem do pogłębienia znajomości z wyjątkową istotą, która, choć to niewiarygodne, stoi teraz obok mnie przed drzwiami mieszkania Jacka. Uwielbiam takie momenty jak ten, kiedy istnieje prawdopodobieństwo, że coś się wydarzy, choć równie dobrze może nie wydarzyć się nic. Kiedyś uzmysłowiłem sobie, że właśnie ta niepewność jest dla mnie najbardziej podniecająca. Przekręcam klucz w zamku. Na zewnątrz jest jeszcze jasno, ale w miejscu, które Jacek nazywa swoją kawalerską kawalerką szczelnie zaciągnięte, grube zasłony skutecznie utrzymują mrok. Sięgam do kontaktu ale lampa się nie zapala. Coś chrupie pod moimi nogami, o coś się potykam. Podchodzę do okna i otwieram je na oścież, żeby wpuścić trochę światła, a przy okazji świeże powietrze, bo zaduch panujący w pokoju jest nie do zniesienia. „O rany, ale tu bajzel” - mówi ona. Faktycznie. Pokój wygląda, jakby The Sex Pistols urządzili tu sobie balangę. Poprzewracane meble, rozwalony telewizor, podłogę zaścielają papiery i tłuczone szkło. Chyba jednak Bis dobrał się do krzaków - przychodzi mi do głowy absurdalna myśl. Dopiero po chwili dostrzegam leżącą na łóżku skuloną, nieruchomą postać. Tknięty dziwnym przecuciem pochylam się, jednym, energicznym ruchem ściągam kołdrę i nagle *Houston, mamy problem* robi mi się słabo. Zawsze rozmiękczał mnie widok krwi, nie tylko własnej. Jednocześnie słyszę jej nerwowy krzyk, widocznie ona też kiepsko reaguje na krew. Jacek leży twarzą do ściany, a na prześcieradle kwitnie wielka czerwona plama i ani przez chwilę nie łudzę się, że może to być sok wiśniowy, wylany przez nieuwagę do łóżka. Chwytam bezwładną rękę, żeby wyczuć puls i (*najazd kamery na pochlastane przeguby pokryte zakrzepłą krwią, potem płynne przejście na brzytwę leżącą obok. Ważny kontrast: lśniąca stal - ciemna plama krwi!*) na szczęście puls jest wyczuwalny.

Są miejsca, które mają tajemniczą, magiczną moc przyciągania i spacerując alejkami starego parku zakładu psychiatrycznego w grypserze pensjonariuszy zwanego Houston utwierdzam się w przekonaniu, że jest to właśnie jedno z takich miejsc. Panuje tu spokój, podobny do tego, jaki można poczuć w ogrodzie klasztornym lub na cmentarzu. Spokój za jakim się tęskni, kiedy życie zaczyna nabierać niepokojąco szybkich obrotów.

- Czemu Houston? Bo to naziemna kontrola lotów kosmicznych - tłumaczy mi Jacek. Jego grubo obandażowane przeguby rąk nie budzą tu niczyjego zainteresowania. Niedoszli samobójcy to raczej popularna kategoria świrów, podobnie jak potencjalni samobójcy. Tych drugich jest zresztą bez porównania więcej, czasami zastanawiam się, czy sam się do nich nie zaliczam. Cały czas świerzbi mnie język, chciałbym zadać Jackowi to pytanie, ale wiem, że nie trzeba go męczyć. Opowie sam, jeśli będzie miał ochotę.

Co? Chciałbyś wiedzieć, czemu tak się stało? Coś się strasznie pogięło, facet, a wszystko przez Ramzesa. Musisz mi uwierzyć, to przez tego skurwla wylądowałem w Houston. Zaczęło się w Amsterdamie, jazda taka, że coś pięknego. Załapałem się na fajny squat i była tam taka super blondyna, no, mówię ci, Pamela Anderson to przy niej pasztet. Próbowałem coś z nią zakręcić. Nic z tego, laska wolała taką swoją przyjaciółkę, kumasza, ale obiecała mi, że razem pójdziemy na koncert Iggy'iego. Zawsze to coś, nie? No, a potem spotkałem Ramzesa. Przypadkiem, kumasza, w takim pubie. Ramzes to O.K. facet, tak wtedy myślałem. Więc siedzimy, nawijamy, i nagle Ramzes pyta, czy chcę spróbować czegoś naprawdę strzałowego. „Chorego pytasz?” - mówię. „Jasne, że chcę”. No to mi posypał do piwa odrobinę jakiegoś dziwnego syfu. Proszek taki, niebieskawy jakby.

Siedzimy dalej i nic. „Co jest?” - mówię, a skurwiel tylko się uśmiecha. A potem... Kurna, facet, nie uwierzysz. Nikt nie uwierzy, bo ja sam bym nie uwierzył. Pamiętam ten pub, Ramzes siedzi naprzeciwko, wszędzie ludzie, muzyka leci na full i nagle gaśnie światło, totalny zjazd. Budzę się... w moim własnym wyrku, w mojej chacie, w Krakowie. Niekumacja absolutna. Ostatnie, co kojarzę, to ta knajpa w Amsterdamie. Zupełna schiza, nie wiem, co jest grane. Nic nie pamiętam - co robiłem, jak wróciłem. Nic. Włączam radio - jest dwa dni później. Czyli dwa dni przerwy w życiorysie, bez szans na odzysk. Próbowałem coś sobie przypomnieć, pozbierać się jakoś do kupy i nagle zaczął się maksymalny odjazd. To już pamiętam dokładnie, najgorszy trip mojego życia. Byli tam wszyscy: Freddie z Alei Wiązów, Bob z Twin Peaks, Mickey i Mallory, Hannibal Lecter, koleś z „Głowicy Ścierającej” i nawet profesorka od fizyki, ta, co mnie oblała na maturze. Totalny horror. Leżę na łóżku i nie mogę się ruszyć, a oni pochylają się nade mną, szczerzą zęby i zaglądną prosto w moje oczy tak głęboko, aż do mózgu. To było tak straszne, że musiałem coś z tym zrobić, kumasz, zastopować. Brzytwa była pod ręką... Najgorsze, że chwilami mi się wydaje, że to świństwo wciąż na mnie działa. Wszystko jest teraz takie... inne, kumasz? I myślę, że już nigdy nie będzie po staremu. Nie wiem, co ten pajac mi zapodał, ale jak go dorwę... Tego, że przepadł mi koncert Iggy'iego, też mu nie wybaczę.

- Jacek w Houston? No cóż, zdarza się - Ramzes wygląda na umiarkowanie zmartwionego. - Szczerze mówiąc oczekiwałem tego od dawna, Jacek brał każde świństwo, jakie mu wpadło w ręce, naprawdę przesadzał. Musiało mu się w końcu popieprzyć - mówi do mnie. Zabawnie brzmi takie stwierdzenie z ust takiego faceta jak Ramzes. Poznałem go kiedy jeszcze studiował chemię. Bez najmniejszego wysiłku zbierał wszystkie możliwe stypendia naukowe, bo wiedzę miał nieprzeciętną. Niektórzy twierdzili nawet, że Ramzes jest geniuszem. Być może, bo jak większość geniuszy miał swoją idee fixe. Przez kilka lat pracował nad zsyntetyzowaniem środka, który dawałby maksymalny odjazd, mocniejszy od wszystkich znanych dragów. Sam był swoim królikiem doświadczalnym i moim zdaniem właśnie wtedy przekroczył subtelną granicę dzielącą koleśki lekko zakręconych, a gości mocno odjechanych. Ramzes żartował zawsze, że kiedy już odkryje ten super drag, na własną cześć nazwie go Ramzeiną. O ile wiem, nigdy nie wyszło mu tak, jak chciał, ale całkiem przy okazji udało mu się zrobić najczystszy biały proszek w mieście i zaczął produkować go w sporych ilościach. Zgubiła go zbytnia przedsiębiorczość. Postanowił wejść ze swoim produktem na rynek po atrakcyjnej cenie aby, jak mówił, sfinansować dalsze badania. Widocznie komuś było to nie w smak, bo pewnego dnia dorwało go kilku krótko ostrzyżonych, przypakowanych na koksach, bardzo niesympatycznych koleżków. Zabrali go na przejażdżkę w bagażniku i chyba porządnie nastraszyli, bo Ramzes odpuścił sobie. Przestał robić biały proszek i z tego co wiem, porzucił także swoje mrzonki. Został wzorowym pracownikiem jednego z dwóch konkurencyjnych koncernów wytwarzających brązowy napój z bąbelkami i jak sam mówi, obecnie jego najpoważniejszym zmartwieniem jest to, że w pracy nie może sobie pozwolić na noszenie koszulek z krótkim rękawem, bo nawet całkowity laik bez trudu zidentyfikowałby zrosty na jego żyłach - pozostałość po starych eksperymentach.

- W Amsterdamie? Dałem mu niby jakieś prochy? To jakaś kompletna bzdura, chyba w to nie wierzysz - wzrusza ramionami Ramzes. - Od stu lat nie byłem w Amsterdamie. Musiało się Jackowi naprawdę ostro pochrzanić, najlepszy dowód, że jest w wariatkowie - mówi i sam już nie wiem, komu wierzyć.

- Napijesz się czegoś? - pyta nagle. - Mam w lodówce zimną colę.

- Chętnie - mówię. - Cholerny upał dzisiaj.

Następna rzecz, jaką kojarzę, to dotyk czegoś szorstkiego na twarzy. Otwieram oczy i na pierwszym planie widzę znajomy koci pysk. Bis? Co on tu robi? Albo raczej, co ja tu robię, bo właśnie *zoom out* stwierdzam, że leżę na podłodze w mieszkaniu Jacka.

Z żabiej perspektywy ogarniam wzrokiem pokój. Bajzel jeszcze większy niż poprzednio i chyba tym razem Bis naprawdę dobrał się do krzaków, bo na dywanie dostrzegam porzrzuconą ziemię i obgryzione badyle. Mam wielką pustkę w głowie, chciałbym znaleźć na to wszystko jakieś logiczne wytłumaczenie. Bis biega dookoła i miauczy jak zawsze, kiedy jest głodny. Podnoszę się i idę do kuchni znaleźć coś dla niego. Kiedy nakładam mu żarcie dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę. „Już się obudziłeś? To świetnie” - słyszę dziwny, zniekształcony głos. „Ponieważ masz coś, na czym nam zależy, możemy zrobić uczciwy interes.” „To jakaś pomyłka” - mówię. „Nie mam niczego, na czym mogłoby wam zależeć”. „Naprawdę?” - słyszę ironiczny, nieprzyjemny śmiech. - „A czarna walizeczka?” „Nie mam żadnej czarnej...” - zaczynam mówić i wtedy mój wzrok pada na łóżko, to samo, na którym znalazłem Jacka. Leży na nim niewielka czarna walizeczka zamykana na szyfrowy zamek. „Gdzie?” - pytam zrezygnowany. „Gdzie się spotkamy?”. „Domyśl się” - znów ten wkurzający śmiech. - „Przypomnij sobie, znasz to miejsce doskonale.”

Wysiadam na ostatnim przystanku przed zajezdnią. Chętnie zapaliłbym, ale w kieszeni znajduję tylko puste pudełko po papierosach. Jest gorący, słoneczny dzień, idealny na małą przechadzkę za miasto. Zaciskam mocniej dłoń na uchwycie czarnej walizeczki i przechodzę przez tory prowadzące na starą bocznicę. W oddali wylania się ciemny wiadukt przypominający ptaka. Druty trakcji elektrycznej gwizdzą cicho, jakby chciały mnie ostrzec: „hej, człowieku, stamtąd gdzie zmierzasz już nie ma odwrotu”. Mijam skwer, mijam pokryty rdzą most, mijam młyn, mijam zwałowisko złomu. Panuje złowrogi spokój, jak przed burzą. Kurz poruszony moimi krokami unosi się i zawisa w powietrzu, kiedy idę przed siebie wyboistą drogą wzdłuż ogrodzenia Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych. Maszyny ziorają nieprzyjaźnie jak zwykle. A może bardziej, niż zwykle? Szczerbaty psychacz wyduje z siebie niski, pełen wrogich wibracji warkot.

Plac między wielkimi magazynami wydaje się całkiem pusty, jednak kiedy stoję na środku, zza jednego z magazynów wylania się powoli gablota, dokładnie taka, jakiej się spodziewałem. Potężny, czarny merc z przyciemnianymi szybami, podobny do tego, jakim jeździł mr. Eddie z „Zagubionej Autostrady”. Zatrzymuje się przy mnie. Przyciemniana szyba uchyla się na kilkanaście centymetrów.

- Masz? - słyszę głos, ten sam, co w słuchawce telefonu. Nieprzyjemny, zimny głos, całkowicie pozbawiony emocji. Próbuje dojrzeć osobę, to której ten głos należy, ale to niemożliwe. W środku jest tylko ciemność.

- Mam - mówię i podaję walizeczkę, która znika we wnętrzu auta.

- W porządku - słyszę. - Możesz odejść.

- Zaraz - mówię. - Podobno mieliśmy zrobić interes. Uczciwy interes.

- Przecież żyjesz, a to bardzo dużo. Naprawdę chcesz czegoś jeszcze?

- Tak. Chciałbym dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Idź tam. - Z auta wylania się ręka w czarnej skórzanej rękawiczce i wskazuje w

kierunku największego z magazynów. - Tam dowiesz się wszystkiego.

Zanim oczy zdołały dostosować się do panującego wewnątrz półmroku, potężne stalowe drzwi zatrzasnęły się za mną ze złowieszczym hukem, a wysokie sklepienie hali odbiło i wzmocniło ten dźwięk, przypominający odgłos zamykanego sarkofagu. Pułapka. Nie byłem zaskoczony, właściwie spodziewałem się tego. Obydwie części DOOM'a przeszedłem po kilka razy, można więc powiedzieć, że nie byłem żółtodziobem. Kiedy w chwilę potem dobiegło mnie głucho, naładowane agresją warczenie, które przeszło we wściekły jazgot wiedziałem, co robić. Zabawa się zaczęła, pomyślałem i rzuciłem się w stronę, gdzie piętrzyły się jakieś skrzynie i paczki. Kilka sekund później stałem na skrzyni oblegany przez sforę krwiożerczych bestii. Kiedy przechodziłem DOOM'a, na własny użytek nazwałem te stwory *psami piekła*, bo z mordy podobne były do buldogów i naprawdę wyglądały jak potwory z piekła rodem. Teraz, w rzeczywistości, były jeszcze bardziej odrażające. Wszędzie dookoła jarzyły się ich fosforyzujące, wściekłe ślepi. Biegały dookoła rozjuszone i wściekłe, że nie mogą mnie dosięgnąć. Ja też niewiele mogłem, nie miałem broni. Teoretycznie powinno być jakieś rozwiązanie, zawsze było. Rozglądałem się po hali, próbując coś wymyślić i wtedy zobaczyłem, że wielkie stalowe drzwi znowu się uchylają. Pojawiła się w nich wysoka postać trzymająca w ręku podłużny przedmiot. Z tej odległości i pod światło nie mogłem dostrzec szczegółów. Człowiek przyłożył podłużny przedmiot do ramienia i usłyszałem strzały. Rozległy się skowyty świadczące o tym, że nie pułtuje. Eliminował psy piekła systematycznie jednego po drugim, aż w końcu celnym strzałem zgasił ostatnią parę fosforyzujących ślepi. Zeskoczyłem ze skrzyni i omijając leżące na ziemi, pokrwawione zewłoki podszedłem w kierunku drzwi. Chciałem zobaczyć, kim jest mój wybawca.

- No i jak, podoba ci się zabawa? - usłyszałem dobrze znajomy głos. - O ile pamiętam, zawsze lubiłeś DOOM'a.

Ramzes, bo to on właśnie stał w lekkim rozkroku, dzierżąc dymiącą jeszcze strzelbę, uśmiechał się cynicznie. - Dręczy cię ciekawość? Więc dobrze, pytaj, jestem ci to winien.

- Co było w walizeczce? - pierwsze pytanie wyrwało mi się samo.

- Ramzeina. Pamiętasz: to, nad czym od dawna pracowałem. W końcu mi się udało, zresztą oceń sam, cały czas jesteś pod jej działaniem. Wszystko, co teraz widzisz, czego doświadczasz, to efekt Ramzeiny.

- Kiedy przestanie działać?

- Już nigdy. Udało mi się wreszcie zrobić drag, którego działanie nigdy nie ustaje. Nie kończący się trip, czyż to nie piękne? - Ramzes roześmiał się na całe gardło i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że on nie jest mocno odjechany, jest po prostu szalony. Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej?

- Co teraz zamierzasz z tym zrobić? - spytałem, obawiając się odpowiedzi, którą zaraz miałem usłyszeć.

- Postanowiłem uszczęśliwić ludzkość. Chcę, żeby każdy człowiek na Ziemi zażył Ramzeinę. I wiesz, co? Mam plan, jak to zrobić. Tak się dziwnie składa, że pracuję... - nie musiał kończyć. Wyobraziłem sobie miliony butelek i puszek z najbardziej reklamowanym napojem na świecie, sprzedawanych w sklepach, barach, knajpach, na ulicach, z lodówek, automatów, dystrybutorów, a w każdej puszcze i w każdej butelce działka Ramzeiny...

- ... stanę się Kosiarzem Umysłów i Palmerem Eldritchem w jednej osobie, będę mieć

władzę absolutną nad światem...

Wyczekałem na moment, kiedy Ramzes tak się rozgadał, że przestał uważać. Wtedy nagłym ruchem wyrwałem mu broń z ręki. Nim zdołał połapać się w sytuacji, stałem w odległości dwóch metrów ze strzelbą wycelowaną w jego pierś.

- Co robisz?! Nie wolno ci...

- To mój trip - powiedziałem spokojnie. - I wszystko mi tu wolno. Oparłem kolbę o ramię i pociągnąłem za cyngiel.

Budzę się w mieszkaniu Jacka. Obok śpi ona. Uśmiecha się przez sen. Jest naprawdę wyjątkowo ładna. Szkoda tylko, że nie pamiętam nawet, czy... Nagle przypominam sobie fragmenty jakiejś mocno porąbanej historii. Brali w niej udział gangsterzy i potwory z DOOM'a, a wszystko nakręcił Ramzes, który wreszcie wynalazł Ramzeinę. Chyba miał w związku z tym jakieś nieczne plany... O co w tym wszystkim chodziło? Czy ma to związek z bałaganem, jaki panuje w mieszkaniu? Nie mogę się skupić, łeb mi pęka, a w dodatku głodny kot lata dookoła i miauczy. Zaraz coś dostaniesz, Bis, tylko najpierw odbiorę telefon...

BALLADA ŁOWCY RÓŻ

Ciemność. Nagle ćma dostrzega w oddali światło. Przez ciężki, duszny mrok zaczyna przebijać się w tamtą stronę. Każdy ruch aksamitnych skrzydeł przybliża ją coraz bardziej. Światło różni się od wszystkiego, co znała wcześniej. Jest silne. Ma w sobie dziwną moc, która hipnotyzuje, przyciąga, nie pozwala lecieć w innym kierunku. Sprawia, że inne kierunki przestają istnieć. Ćma zbliża się tak, że zaczyna czuć ciepło. Zafascynowana krąży dookoła, ale to nie wystarcza, chce dotknąć płomienia. Znika instynkt samozachowawczy. Oślepiąca nie zauważa innych owadów, które przybyły tu przed nią. Okaleczone, poparzone, z osmalonymi skrzydłami krążą gdzieś niżej, nie mogą już osiągnąć światła. Wciąż jednak próbują. Desperackimi uderzeniami tłących się skrzydeł walczą, żeby jeszcze raz, choć przez ułamek sekundy znaleźć w jego palącym, bezlitosnym zasięgu. Potem spadają w dół, szczęśliwe, że im się udało.

Zbliża się wieczór. Zrobiłem wszystko, co miałem do zrobienia. Nic mnie już tu nie trzyma. Rano pojedę na dworzec i kupię bilet, jeszcze nie wiem, dokąd. Nie zastanawiając się długo wybiorę następne miasto. Musi być duże. Fascynują mnie duże miasta. Lubię je poznawać, odkrywać, zaprzyjaźniać się z nimi stopniowo. Dzień po dniu coraz lepiej, coraz dokładniej, coraz bliżej. Tak, jak z kobietą. Bardzo ważne jest pierwsze wrażenie. Wygląd. Gesty. Sposób, w jaki na ciebie patrzy. Barwa jej głosu. Zapach. Dotyk dłoni. Te wszystkie rzeczy potrafią powiedzieć więcej niż słowa komuś, kto umie je właściwie odczytać. Z miastami jest podobnie. Zawsze zapamiętuję pierwsze wrażenie i nigdy mnie ono nie myli. Zdarza się tak, że zanim przybędę w nowe miejsce, mam pewne pojęcie o tym, co mnie tam spotka. Możesz to nazwać intuicją, ale tak naprawdę to dużo więcej niż zwykłe przeczucia. Często udaje mi się w krótkich, lecz wyraźnych przebłyskach widzieć przyszłość, właściwie jej fragmenty, błyskawiczne migawki, które przeważnie zaraz zapominam. W głowie pojawiają się obrazy. Szybko znikają, ustępując miejsca następnym. Gorący zgiełk tętniących życiem ulic i chłodny spokój starych świątyń. Widzę ludzi, których spotkam i bawi mnie myśl, że oni nie wiedzą nawet o moim istnieniu. Kilka razy wydawało mi się, że w tłumie ludzi śpieszących do odprawy albo na peron dostrzegam samego siebie, starszego o kilka miesięcy, o pół roku, opuszczającego miasto, żeby jak najprędzej znaleźć następne. I rozpocząć wszystko od nowa. Już wtedy wiem, że mi się powiedzie.

Przywiązuję się do miejsc. Wyjeżdżając zawsze myślę o budynkach, ulicach, skrzyżowaniach, placach, skwerach, parkach, mostach, zaułkach, które mnie otaczały. Nie umiem przyzwyczać się do myśli, że nigdy więcej ich nie zobaczę. Tęsknię, mimo świadomości, że nic nas już nie łączy. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego zawsze, kiedy opuszczam jakieś miasto, czuję się tak, jakbym rozstawał się z kobietą?

Kocham duże miasta. Nienawidzę małych. Małe miasteczka są jak ludzie, na których wystarczy spojrzeć, żeby poznać ich myśli, przejrzeć na wylot. Jak ludzie, z którymi dość zamienić dwa słowa, żeby dowiedzieć się wszystkiego o ich płytkim, pozbawionym głębszego sensu życiu. Małe miasteczka już zawsze będą przywozić mi na myśl zapach

taniej wody kolońskiej nieudolnie maskującej smród niedomytego potu. Resztki włosów z prowincjonalną elegancją przyklejone żelem do łysiny naczelnika poczty. Zapluty sklepik starej jędzy, która najbardziej nawet błahe plotki potrafi sprzedać lepiej niż jakikolwiek inny towar, oplatając wszystko i wszystkich lepką, trującą siecią intryg. Jednak małe miasteczka to przede wszystkim nieznośna, bezgraniczna nuda, która sprawia, że pierdnięcie proboszcza w czasie niedzielnej mszy urasta do rangi wydarzenia. Istotę tej obmierzłej małomiasteczkowej nudy najlepiej oddaje żart o nocnym życiu w jednej z takich dziur. "Dlaczego dzisiaj zamarło nocne życie? Bo jedyną prostytutkę rozbolały zęby." Ten żart to strzał w dziesiątkę, choć wcale mnie nie śmieszy. Pochodzę z małego miasteczka. Moja matka była prostytutką.

Dzisiaj, jak zwykle przed wyjazdem, odwiedziłem studio tatuazu. Zwyczaj, który z czasem zmienił się w rytuał. Wprawna ręka w gumowej rękawiczce powoli przesuwiała się nad moim ramieniem, starannie nanosząc kontury kolejnej róży. Z satysfakcją pomyślałem, że to już dwunasta. Dwunasta w ciągu kilku lat. Patrzyłem jak wibrująca igła zagłębia się w skórze, systematycznie wypełniając czernią płatki i na kilka kropel krwi, która z nich spłynęła. „*To dla ciebie, mamo*” - pomyślałem wtedy. - „*Wszystkie róże są dla ciebie*”.

Moja matka była najpiękniejszą kobietą w miasteczku. Kiedy znaleziono ją martwą, wciąż była piękna, mimo grubej, sinej pręgi na szyi, znaczącej miejsce, w którym ręka mordercy zadzierzgnęła mocną pętlę. Leżące na łóżku nagie ciało rozpraszało uwagę doktora wypisującego akt zgonu. Przyciągało wzrok wszystkich policjantów i urzędników, którzy przybyli pod pretekstem wykonywanego zawodu. Robili zdjęcia, zbierali odciski palców, zabezpieczali ślady i sporządzali protokół, ale cały czas starali się jak najdłużej patrzeć na duże, kształtne piersi, płaski brzuch, między kuszaco rozchylone, zgrabne nogi mojej matki. Zawodowa rutyna sprawiała, że obcy im był szacunek wobec majestatu śmierci. Z równie oczywistego powodu, jakim jest wrodzony brak wrażliwości, nie wzruszyła ich wcale piękna, czerwona róża, którą ktoś położył na poduszce, tuż obok głowy zamordowanej. Byłem tam, a oni wcale nie krępowali się moją obecnością. Z kolei ja nie musiałem się zbytnio wysilać, żeby patrząc w pospolite, czerstwe twarze przedstawicieli prawa, poznać ich myśli. Były wyraźne jak wielkie, tłuste nagłówki lokalnej gazety, która miała ukazać się następnego dnia. Mogłem je dokładnie odczytać. Myśli te kłębiły się w ich głowach tak, jak larwy toczące trupa i koncentrowały się wokół jednej rzeczy, która nie dawała im spokoju.

Nieświadomie porównywali ciało mojej matki do zaniedbanych, od dawna już nieapetycznych ciał swych żon. Dlaczego nie potrafili być dla nich dobrzy, wracając tego dnia po pracy do domu? Dlaczego wciąż marzyli o tym, żeby mieć tak piękną, zadbaną kobietę? Ilu z nich miało ją rzeczywiście? Ilu z nich sypiało z moją matką?

„*Już nikt, nigdy więcej nie będzie cię pieprzył, mamo*” - pomyślałem, patrząc na nią ostatni raz.

Nie lubię oglądać się wstecz, tak jak nie lubię wspomnień z dzieciństwa. Zresztą niezbyt mam co wspominać.

Niezliczone bójkę w szkole. Przeważnie chodziło o matkę. "Nieprawda, moja matka nie jest taka" - krzychałem, rzucając się z pięściami na wykrzywione w szyderczych uśmiechach twarze, na wytykające mnie paluchy, na wykrzykujące za moimi plecami okrutną prawdę usta. I wiedziałem, że racja jest po mojej stronie, kiedy potem wracałem

do domu, posiniaczony i rozbitym nosem, a matka przytulała mnie mocno. I nigdy nie pytała.

Kiedy moja matka szła ulicą, wszystkie porządne kobiety, wszystkie te wyleniałe kury domowe zaczynały między sobą niespokojnie gdakać, podczas, gdy ona mijała je dumna i wyniosła. To chyba rozjuszało je najbardziej. Pały matkę wzrokiem, który powinien był zmienić ją w kupkę popiołu. Nic takiego się jednak nie działo, więc potem odbijały to sobie na swoich mężach, robiąc im karczemne awantury o zaniedbany trawnik, o zepsutą pralkę, o cokolwiek, nigdy jednak o pożądanie, jakie zapalało się w ich oczach, kiedy zbliżała się moja matka.

W dzieciństwie miałem swoją ulubioną zabawę. O zmroku otwierałem na oścież okno. Przy pomocy lampy naftowej wywabiałem, wybawiałem owady z ciemności. Nigdy mnie nie zawiodły. Zwabione światłem przylatywały zawsze i rozpoczynały swój obłądny taniec wokół płomienia. Potrafiłem obserwować całymi godzinami. W końcu usypiałem, a w moich snach wciąż tańczył ogień.

Miasto, które teraz opuszczam witało mnie deszczem. Gwałtowna ulewa spowodowała kataklizm. Rwące potoki płynęły ulicami. Woda czyściła każdą, najmniejszą nawet szczelinę, wymywając z niej nagromadzony tam od wieków brud. Znikały wsiąkle w kamień ślady życia, jedyna pozostałość po ludziach, których istnienia nikt nie pamięta. Szczyny pijanego sprzedawcy waty cukrowej i łyzy dziewczyny, która właśnie zrobiła pierwszą skrobankę. Krew żołnierzy zabitych podczas jakiejś dawno zapomnianej wojny. Flegma posterunkowego z obrzydzeniem obchodzącego swój rewir. Złuszczony naskórek całych pokoleń.

Wypłukane nieczystości z szumem spływały pochyłościami ulic, znikały w wylotach kanałów, ginęły pod ziemią. Stawały się pożywką dla szczurów. Plugawych, potępionych stworzeń, które żyją w ciemnościach, śmiertelnie bojąc się światła.

Strumienie wody zalewały szyby, rozpaczliwie tłukły o dach taksówki wiozącej mnie z lotniska. Pomyślałem, że miasto rozplakało się na wieść o moim przybyciu. Właśnie dlatego polubiłem je. Czuję, że kobieta, którą tu spotkam będzie wyjątkowa. - „*Moja nowa kobieta, mamo. Ciekawe, jak ci się spodoba?*” - pamiętam, że tak właśnie wtedy pomyślałem.

Zobaczyłem ją po tygodniu. Stała samotnie na ulicy, a ja nie miałem wątpliwości, że to ona. Zakochałem się od razu, bo oświetlona blaskiem latarni wyglądała pięknie. Prawie tak pięknie, jak moja matka. I tak samo mnie potrzebowała. Drżała z zimna, gdy przejmujący wiatr smagał ją bez litości, a światło załamujące się w kropelkach deszczu tworzyło aureolę dookoła jej głowy i nagle przypomniałem sobie, że widziałem ją już wcześniej, w jednym z tych krótkich przeblysków, jakie czasem miewam.

Czekała na kogoś, kto będzie chciał kupić kilka chwil przyjemności, ale tak naprawdę czekała właśnie na mnie, sama jeszcze o tym nie wiedząc, podobnie jak poprzednie. Była jedną z tych istot, którym wystarczy dać odrobinę ciepła, aby obudzić śpiące w nich całe pokłady uczuć. Ja miałem być tym, który to zrobi.

Nosiła w sobie smutek. Nawet, kiedy się uśmiechała, dziwna melancholia kryła się w czarnej głębi źrenic, w kącikach jej ust. Smutek, który pozwalał myśleć, że podobnie jak ja zna przyszłość, choć równie dobrze mógł to być żal za czymś, co dawno temu zostało bezpowrotnie utracone. Później, kiedy leżała obok mnie, ufnie przytulona, starałem się poznać istotę tego smutku. A jednocześnie pragnąłem, żeby pozostał on dla mnie do

końca tajemnicą.

Nie mówiła zbyt wiele. Może zresztą nie było o czym. Nie zadawała pytań. Pamiętam, że często wodziła palcem po jedenastu różach na moim ramieniu, ale nigdy nie pytała, co one znaczą. Zupełnie jakby wiedziała, że i tak nie mógłbym jej powiedzieć prawdy. Jeszcze nie wtedy.

Ja też na jej ciele odkryłem rysunek. Nocny motyl przysiadł na lewej piersi a trupia czaszka na jego odwłoku uśmiechała się do mnie, kiedy ją całowałem. Aksamitne skrzydła biły mnie po twarzy, poruszane jej szybkim, zmysłowym oddechem. Kiedy byłem z nią, kiedy rozpaliałem ją do czerwoności, zapominałem o setkach mężczyzn, którzy mieli ją wcześniej. O pijanych sprzedawcach waty cukrowej, prostackich stróżach prawa, obleśnych naczelnikach poczt. O wszystkich, którym za pieniądze dawała kilka chwil udawanej miłości. Namiastkę czegoś, czego tak naprawdę sama nigdy od nikogo nie dostała. Zapominałem o tych wszystkich ludziach, dla których była tylko przedmiotem, jednorazową zabawką i chciałem, żeby ona też zapomniała. Pragnąłem jej pomóc.

- Jeśli chcesz, mogę cię zabrać - powiedziałem pewnego dnia. - Mogę cię zabrać bardzo daleko stąd. Będiesz mogła zacząć wszystko od nowa. Musisz tylko chcieć.

Zgodziła się. Wtedy pocałowałem ją ostatni raz. Dłonie, jak żelazne obręcze objęły jej szyję i nie wiem, kto sprawiał, że zaciskały się coraz mocniej i mocniej. Dzwony w mojej głowie rozdzwoniły się tak głośno, że cały świat zadrżał i zaczął pękać a mnie znów przepełniało to niepowtarzalne, niesamowite uczucie. Wiedziałem, że robię dokładnie to, co robić powinienem i nic nie mogło mnie powstrzymać.

- *Pozdrów moją matkę* - zdążyłem wyszeptać w jej ucho, zanim świat rozprysnął się na mikroskopijne kawałeczki.

Rodzinne strony opuściłem tydzień po pogrzebie. Już wtedy wiedziałem, że nigdy nie wrócę.

Siedziałem samotnie na końcu dalekobieżnego autobusu, trzymając na kolanach walizkę. Bez problemu zmieściłem w niej wszystkie rzeczy, jakie zasługiwały na to, aby razem ze mną opuścić tą dziurę. Gryzłem soczyste jabłko i delektowałem się myślą o pożarze, który ubiegłej nocy doszczętnie strawił kościół w miasteczku.

Ogień wykuł się w zakrystii. Zamrugnął zdziwiony swoją obecnością w takim miejscu, po czym niespiesznie przełknął podsunięte mu nuty organisty. Po nutach przyszła kolej na brewiarz proboszcza, potem na stos książeczek do nabożeństwa i komże ministrantów. Zaostrywszy w ten sposób swój apetyt, ogień sam zaczął rozglądać się za czymś, co nadawałoby się do jedzenia. Szybko wspiął się na przeszkloną szafę, polizał ściany i przez otwarte drzwi wpadł do nawy bocznej, gdzie łapczywie rzucił się na dębowe ławy.

Główny ołtarz zajął się dość szybko. Złocenia łuszczyły się i pryskały jak okruchy słońca. Świece wędły jedna po drugiej pod dotknięciem gorącego oddechu. Chwilę potem stopiły się w skwierczące kałuże, które jeszcze bardziej podsyciły płomienie. Wtedy świętokradcze macki wyciągnęły się w stronę tabernakulum.

Drewniana twarz ukrzyżowanego Chrystusa patrzyła na wszystko obojętnie, dopóki i jej nie pogłaskały gorące palce. W jednym momencie wykrzywił ją grymas śmiertelnego przerażenia. Z rozpaczą patrzył na chory świat, który znów go odrzucał. Umierał po raz kolejny, a ja nie pamiętałem nawet słów modlitwy za konających.

Miałem dopiero szesnaście lat. Miałem cel w życiu.

Już dawno temu zauważyłem, że noc pełna jest nieszczęśliwych, samotnych istot, które zgubiły drogę. Nie znając właściwego kierunku błąkają się po omacku, trwonią siły desperacko goniąc za pozorami i nie widzą że życie, prawdziwe życie przecieka im przez palce. Tracą rozeznanie między rzeczami naprawdę istotnymi a nic nie wartym śmieciem. Ślepą wypatrując czegoś, co zdarza im się widzieć tylko w snach. Czasem wydaje się, że znalazły. Rzucają się wtedy rozpaczliwie w tamtą stronę, lecz nic nie znajdując odchodzą, aby pogрузić się w jeszcze większej ciemności.